

Z I E M I A

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
KRAJOZNAWCZY DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. i O. P.

M O R Z E.



GDYNIA — MIASTO.

Zwiedzający dziś Gdynię widzi pewną ilość nawarstwień, w których obrazuje się historia tej niezmiernie ciekawej miejscowości. Pierwsze stanowią ubogie chałupki rybackie, które tak niedawno wypełniały ją całą. Dziś wstydliwie ukryte w przeważnej części, czasem tylko wpadają w oko, gdy najbezzeczniej wylega okaz tego rodzaju na sam środek ulicy nowej. Naogół jest to coś szczątkowego, coś, co minęło zupełnie bezpowrotnie. Właściciele tych domków, to już bogaci ludzie, to posiadacze drogich placów, a nieraz wysokich, pierwszopiętrowych kamienic.

Drugie nawarstwienie — to Gdynia — miejscowość klimatyczna, budowana tylko na sezon letni. Jest takich budek skleconych coś niecoś — została jeszcze Kamienna Góra — trochę zabytkowych baraków sklepowych, hotelików kiepsko ogrzewanych. Należą tu nieraz i trwalsze budowle, które z biegiem czasu przystosowały się nawet do społecznego życia, ale ani rozmiarami, ani architekturą nie odpowiadają temu, co jest najbardziej potrzebne.

Do tej epoki zaliczamy pewną ilość budynków publicznych, jak dworzec — całkowicie nieprzystosowany do ruchu gdyńskiego, mały, brzydki — albo cudaczna strażnica pożarna.

A potem przychodzi nawarstwienie trzecie, współczesne — wielkomiejskie. Ale właśnie ono może najbardziej zdumiewa obserwatora. Są to urzędy, banki, hotele ostatecznie, szkoły... A gdzie są mieszkania ludzi pracujących w tym mieście? Człowiek szuka zaniepokojony — szuka — nadaremno. Tych kamienic, które stanowią gros budynków każdego miasta, Gdynia prawie nie posiada.

To jedno. Drugie wrażenie, jakie odbieramy — to pewna obawa. Port rozrasta się z kolosalnym rozmachem. Ilość banków świadczy, że coraz więcej interesów się tu zawiązuje, coraz więcej pracy tu będzie trzeba. Coraz więcej ludzi tu będzie przebywać. Gdzie jest miejsce dla nich? Mała kotlina pomiędzy kępami Radłowską i Oksywską ledwie starczy na jakieś śródmieście.

Tego momentu nie oceniono u nas i o ile sama kwestja morska, dzięki inicjatywie przedewszystkiem p. min. Kwiatkowskiego, została postawiona mocno i dobrze—to sprawa Gdyni samej, Gdyni miasta, jeszcze jest na manowcach, jeszcze błąka się, nie znajdując odpowiedniej drogi.

Plan Gdyni obmyślany był pobieżnie i — powiedzmy szczerze, bez wiary w wielką przyszłość naszego portowego miasta. Ot — liczono sobie na jakich 60 tysięcy mieszkańców. Śmiesznie mało. Gdynia — port wielkiego państwa, port jedyny, port nowocześnie urządzony — musi współubiegać się o palmę pierwszeństwa z samą stolicą chyba. I tak musiał być rzucony plan odrazu. Ośrodek jej życia gospodarczego z natury rzeczy pozostanie około poręb, nad morzem — rozrzucić się ona przecież winna amfiteatralnie na południe i ku zachodowi, w głąb lądu — śmiało wdzierać się winna była na góry i rozbudować po obu stronach toru kolejowego. Plan tego nie przewidział i wskutek tego miasto ściśnięte w dolince — poczyną szukać dalszych dróg rozwoju. Okrąża więc kępę Radłowską, uciekając w stronę Gdańska, chaotycznie, nieporządnie.

Brak wielkiego planu przyczynił się w dużej mierze do skoku cen gruntów do nieomal giełdowej, a może gorzej niż giełdowej. spekulacji niemi. Nic nie jest nie do odrobienia. Błąd może być jeszcze naprawiony — obyśmy tylko zdobyli się na zdecydowane działanie, na przydzielenie miastu z zapasów państwowych dużych terenów z wykrojo-

nemi na nich ulicami, parkami i ogrodami. Jedno przecież już się stało i nie odstanie. Ulic już zabudowanych nie rozszerzymy i zawsze będą one przypominały więcej Puck, Wejherowo i temu podobne centra powiatowe — niż coś, co jest językiem cywilizacji.

Druga rzecz — to budownictwo. Tu wpadliśmy w błąd drugi, błąd może większy od pierwszego. Zdawało się nam, że musimy iść drogą konstytucji monumentalnej. Nie tylko urzędy morskie i inne władze państwowe, ale i banki powznosiły tu duże gmachy imponujące turyście. Inna rzecz, czy będą one imponowały jutro. Inna rzecz, czy wszystkie one, tak jak obecnie dworzec, nie okażą się zamałe. Budownictwo prywatne zostało puszczane samopas. Budował każdy — jak chciał, aby tylko do istniejących przepisów się zastosował. I tę wolność dano w warunkach, gdy właściwie mówiąc wszystko, co tylko wznoszono — budowano z kredytów państwowych, gdy państwo miało jak najszerszą swobodę w dziedzinie postawienia swoich wymagań.

A przecież wiadomo, że wszędzie i zawsze, jeżeli tylko nagle powstaje jakaś sadyba, nawet musi się popełnić szereg błędów — poprostu nieodczynnych. Im solidniej, im monumentalniej się buduje — tem błędy te są trudniejsze do naprawienia. Powtarzamy, błędem było bezwzględnie wprowadzenie do Gdyni monumentalnej budowli.

Trzecia sprawa. Port został obliczony. Budynki państwowe też. Skoro będą interesy — ludzie będą musieli gdzieś mieszkać — a więc powstaną domy. Wnioskowanie fałszywe. Cały zachód przekonał się, że dochodowość domów mieszkalnych jest conajmniej problematyczna. W warunkach drogiego pieniądza budownictwo mieszkalne absolutnie się nie opłaca. Na całym Zachodzie państwa i gminy podjęły ten problemat. Myśmy pozostali w błogiem przeświadczeniu, że Gdynia „sama powstanie”. I powstała. Ale powstaje dotąd tylko dlatego, że mieszkania tam — to przedmiot wyuzdanej spekulacji i są dostępne tylko dla warstwy najlepiej uposażonych, najlepiej zarabiających. Powiedzmy sobie — Gdynia jako miasto sama nie powstanie i powstać nie może. Powstanie ona dopiero wtedy, gdy będą mieszkania w dużej ilości, gdy interesy się tam rozwiną, gdy ogromne, rentujące się fabryki będą usiłowały przywiązać do miejsca robotnika i poczną pracować nad zapewnieniem mu stałego wygodnego mieszkania, powstanie wtedy, gdy cały szereg przedsiębiorstw znakomicie prosperujących uprzykrzy sobie przemieszkowanie personelu po okolicy. Zanim to nastąpi — budowa miasta musi być uwzględniona w programie rozbudowy portu.

Doskonale to zrozumieli odrazu cudzoziemcy, którzy od samego początku wzniesli sobie pewną ilość drewnianych baraków i siedzą w nich aż do dnia dzisiejszego. Trzeba też od nich brać przykład.

Gdynia to nie tylko port — to centrum ciągłej, nieustannej pracy. Łuszczarnia, chłodnie, składy, niebawem olejarnie, zapewne i fabryki konserw — wszystko to potrzebuje ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi. Ludzi coraz więcej i więcej. Ludzie ci nie mogą mieszkać po barakach, czy hotelach robotniczych. Ludzie ci nie przyjeżdżają na sezon. Muszą oni mieć bodaj prowizoryczne, obliczone na dziesięć, piętnaście lat amortyzacji mieszkania i właśnie takie trzeba im dostarczyć. Może to i niemiło tworzyć „namiotowe miasto”, ale nie zapominajmy, że wrzucając setki milionów w morze — stwarzamy tam kapitał dla przyszłości — domy gdyńskie powinny być obliczone na jedno pokolenie — na to, które port tworzy. Nowe domy, solidne trwałe, na dziesiątki, a może i setki lat obliczone powstaną w przyszłości, wybudują je ci, którzy w Gdyni będą zarabiać, którzy z niej będą żyć, którzy z niej będą czerpać dochody.

Gdybyśmy tak postavili kwestję od początku, gdybyśmy zrozumieli odrazu, że jak na wojnie żołnierz musi pozostawać w namiocie, tak w baraku musi przemieszkować Polak, podejmujący wielką wojnę z morzem i o morze — zapewne w Gdyni nie byłoby tyle

imponujących budynków, ale też byłoby to miasto, mieszczące wszystkich, którzy w niem pracują, miasto obszerne, miasto, nie potrzebujące się po mieszkaniu uciekać do podmiejskich okolic Gdańska. Pracowałaby Gdynia na dobrobyt własny, nie Gdańska, do którego z niej dziś ucieka waluta.

To wszystko musi być rozważone, jak powiadamy. Nic nie jest nie do odrobienia. Ostatecznie to, co się wystawiło, jakoś zużytkować można. Ale jeżeli naprawdę chcemy wielkiego rozwoju dla Gdyni w najbliższej przyszłości — to możliwe to jest jedynie i wyłącznie, jeżeli rzucimy od razu plan miasta na milion mieszkańców, jeżeli następnie znajdziemy w budżecie duże kredyty budowlane, które pozwolą dać jej mieszkań tyle, ile potrzebuje, nie czekając na inicjatywę prywatną, jeżeli wreszcie zdecydujemy się, że na monumentalne gmachy czas zawsze będzie — teraz musimy stawiać prowizorium możliwie najszybsze.

WACŁAW BOROWY.

KOCHANOWSKI JAKO MARINISTA.

„Jazem przez morze głębokie żeglował”: ten wiersz pięknej fraszki Kochanowskiego „Do gór i lasów” nie jest przenośnią poetycką, lecz ściśle autobiograficznym wyznaniem. Doświadczenie morskie poety nie było coprawda bardzo bogate. Z pism jego i znanych materiałów życiorysowych możemy wnioskować o jednej tylko podróży morskiej jako napewno przez niego odbytej: była to podróż z któregoś z północnych portów włoskich nad morzem Liguryjskiem (jak przypuszcza Roman Pleniewicz, z Livorno lub z Genui) do Marsylii (wspomnianej w łacińskiej elegji, III, 8). Wedle wyników, które przyniosły studia Stanisława Kota, podróż ta miała miejsce w r. 1559, t. j. kiedy nasz poeta liczył lat 29. Widywał on jednak morze już wcześniej. Przebywając jako student w Padwie (wedle obliczeń Kota, za trzema nawrotami, w latach 1552—1555, 1556—1557 i wreszcie 1558—1559), nie omijał pewno okazji do wycieczek nad pobliski Adriatyk; w czasie zaś podróży do południowych Włoch (1554—1555?) widzieć musiał sławione przez poetów rzymskich „mare Tyrrhenum” — przynajmniej pod Neapolem, gdzie „nawiedził Sybilline lochy”. Jak wiemy od niedawna, bywał też Kochanowski w Królewcu (przynajmniej dwa pobyty w tem mieście, w 1552 i 1556 r., ujawniają źródła biograficzne), miał więc zapewne sposobność przypatrzeć się i Bałtykowi, który później opisał w „Pamiętce Janowi na Tęczynie”.

Do rozbudzenia wrażliwości estetycznej Kochanowskiego na morze przyczynili się zapewne pisarze starożytni. Jakkolwiek zresztą było, działało ono na jego wyobraźnię bardzo silnie i dostarczało jego poezji licznych motywów obrazowych: ich właśnie liczebność i siła słowa, z jaką (niektóre przynajmniej) są odmalowane, pozwala nam uważać Kochanowskiego za prawdziwego poetę-marinistę swoich czasów.

Motywy morskie spotykamy już w łacińskich jego elegjach z czasów padewskich. „Nie z takim niepokojem żeglarze prują wody Neptuna, gdy gwiazdy w ślełą noc się skryły”, jak niepokoi się serce poety, kiedy Lidja ucieka z przed jego oczu (II, 5). Oburzony fałszywemi o sobie pogłoskami, prosi kochankę, by kazała złe podszepty „wiatrom unieść za głębokie morza” (III, 6). Kiedy indziej wydaje mu się, że jedyną radą na nieszczęśliwą miłość będzie uciec z okolicy wzgórz Euganejskich choćby przez wzburzone morze; mówi też, że raczej chyba bałwanom tego morza będzie się mógł żalić na swoje niedole serdeczne, niż okrutnej Lidji (II, 6). W innej elegji opowiada

o widziadle sennem, które kazało mu się kąpać w morzu Leukadyjskiem: jego wody bowiem wedle podania leczyły z miłości (II, 11). Inną znów rolę wyznacza poeta morzu w swojej historii uczuciowej, gdy się dowiaduje, że jego rywal jest w podróży i „na groźnych płynie falach”: „Neptunie!—woła wtedy—jeśli bystre wody podlegają twojej władzy, osadź jego okręt na skałach Cyjanejskich; albo rzuć go wśród walki z wichrami na mielizny: gdyż okręt ten mieści w sobie wiarołomcę” (II, 5). Wszystkie te zwroty i obrazy są jeszcze bardzo konwencjonalne i za każdym z nich wyczuwa się jakieś wzory z poezji antycznej. To samo da się powiedzieć i o epigramatach łacińskich, poświęconych podróżnikom morskim (w zbiorze „Foricoenia”).

Mamy tu „Nagrobek żeglarza”, zamykający w dwuwierszu refleksję o ciągłości życia (bo gdy żeglarz ginął „inne okręty pruły jeszcze grzbiety morza”). W innym nagrobku („Epitaphium Nicetae”) żeglarz skarży się, że go pochowano na brzegu morza, które jest sprawcą jego śmierci. Z nutą nieco bardziej osobistą spotykamy się dopiero w epitafjum na grób Kretkowskiego, który znalazł śmierć w Padwie (1558), powróciwszy z podróży po odległych ziemiach i morzach (dalekie etapy tej podróży poeta wymienia).

Zdaje się więc, że za czasów włoskich morze miało dla Kochanowskiego urok głównie dzięki asocjacji z literatury starożytnej, a w pewnej mierze także jako naturalny symbol zagadkowości życia. Interesowało go jednak również jako pomnażająca dobrobyt ludzki dziedzina komunikacji (Kochanowski miał zmysł gospodarczy i poezję działalności ekonomicznej odczuwał i przedstawiał nieraz bardzo żywo). Opisując w elegji do Tęczyńskiego (1559) Włochy, wymienia na poczesnym miejscu „morze, do kupieckiej wymiany przydatne, które z dwóch stron auzońską krainę oblewa”; a przytem „gęste porty, w których żeglarz słucha bezpiecznie szumu nieprzyjaznych wiatrów i srogiego ryku wód” (III, 4).

Z większą mocą poetycką zaczął Kochanowski mówić o morzu dopiero wtedy, kiedy zaczął pisać po polsku.

W pieśni „Czego chcesz od nas, Panie”, którą mamy podstawy uważać za jeden z najwcześniejszych jego polskich poematów (1558 lub 1559), w rzędzie zdumiewających dzieł Boga wymienione jest morze, które „w brzegach... stoi, a zamierzonych granic przeskoczyć się boi”. Powtórzy się ten motyw w elegji łacińskiej do Firleja (IV, 3): najcenniejsze perły nie budzą tyle podziwu, co „przyływ i odpływ morza i ocean, ze stałych granic swoich nigdy nie występujący”. Obraz zakończonej podróży morskiej spotykamy (w funkcji przenośni) w wierszu „O śmierci Jana Tarnowskiego” (1561): „Przebyłem—mówi tam zmarły hetman — jako ma być, niebezpieczne wody — uszedłem srogich wiatrów i złej niepogody. Teraz w porcie bezpiecznym siedzę bez kłopotu”. Ten sam obraz powtarza się w elegji łacińskiej o Tarnowskim (IV, 2): „Szczęśliwy—mówi tam do zmarłego poeta—ominałeś już skały tego morza i przybiłeś do portu z nieuszkodzonym statkiem. My płyniemy jeszcze niepewni”... W późniejszej o rok elegji do Padniewskiego (1562) siebie znowu porównywa poeta do żeglarza, którego zacna troskliwość przyjaciela prowadzi w życiu, jak gwiazda w nocy prowadzi statek do brzegów.

Najobszerniejsze obrazy morza miała przynieść „Pamiętka Janowi na Tęczynie”, pisana pod świeżym wrażeniem dramatycznego zgonu tego tak świetnego i tak wiele obiecującego młodego magnata polskiego (1562). Tu już Kochanowski nie zadawała się wyrażeniami takimi jak: „płynął na prędkiej nawie przez głębokie morze”, lecz wplata do opowieści techniczne informacje o zdjęciu kotwicy, odwiązywaniu lin i odbijaniu okrętu od brzegu, opisuje też, jak stopniowo okręt niknął na horyzoncie; zgubnej zaś

dla Tęczyńskiego burzy pod Gdańskiem poświęca dwadzieścia zgórą wierszy. Jest to pierwszy takich rozmiarów obraz marinistyczny w naszej poezji, są w nim zaś ustępy ciekawe i przez usiłowania realistyczne i przez wcale silną ekspresję poetycką (aczkolwiek jedno z drugim niebardzo się schodzi). Przypomnijmy choćby ostatni czterowiersz tego opisu:

Piasek z wodą się miesza, a w poboczne ławy
Bije szturm niebezpieczny, nawa żadnej sprawy
Nie słucha, ale w morskiem rozgniewaniu pływa
Samopas, a mokra śmierć zewsząd się dobywa.

Potem znowu częściej spotykać będziemy u Kochanowskiego morze w porównaniach. W „Satyrze” (1563) znajdziemy ich kilka (morze nazbyt ciche jest niebezpieczne, podobnie Turcy; — zbytek, jak morze, jest nienasycony; — nieprzygotowanym nie należy powierzać władzy, podobnie jak steru ani żagłów nie powierza się człowiekowi, „jeśli morza nie świadom, jeśli nie zna nieba”). — W „Proporcu” (1569) opis Bałtyku ma charakter schematu alegorycznego, aczkolwiek ożywiony jest ruchem, blaskiem i kolorem („Tam okręty, a przy nich delfinowie gości — po wierzchu wody grają, połyskując złotem; — brzegi bursztynem świecą”); bogatszy (ciekawym zwłaszcza przez uwydatnienie stopniowych zmian ruchowych i świetlnych) jest obraz morza w porównaniu:

Zefir na cichem morzu podnosi bałwany
Na pierwszym słońca wschodzie, które, póki czują
Łaskawy wiatr, leniwo naprzód postępują,
Potem za dużym duchem coraz gęstsze wstają,
A płynąc przeciw słońcu, daleko błyskają.

Bardzo trudno jest porównywać wcześniejsze utwory Kochanowskiego z późniejszymi, wobec różnic rodzajowych, a często i językowych (w najwcześniejszym okresie przeważa łacina), wiele też jest utworów Kochanowskiego, których daty są nam nieznane, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że, im bardziej własne wspomnienia morskie stawały się dla niego przeszłością, tem bardziej poeta je rozpamiętywał, tem bardziej oceniał wartość każdego ich szczegółu. O rozszerzeniu nie tylko wobec wspomnień lektury Homera, ale i wobec wspomnień własnej podróży zdaje się świadczyć elegja (IV, 1) do Stempkowskiego, pisana przed jego wyjazdem do Neapolu (1564?), a obraz okrętów na morzu jest z całej tej elegji może najżywszą częścią. A jakże pięknie marzy Kochanowski o podróżach morskich w późniejszej fraszce „Do Mikołaja Wolskiego”:

Przy tobie i do Kolchów śmiałybym się ważyć,
Przez morskie Symplegady płynąć, gdzie śmiały
Jazon ledwie mógł uwieść swój korab cały...

Ileż zaś obrazów morskich w „Pieśniach”. Przypomnijmy bodaj pieśń „Acz mię twa droga, miła, barzo boli” (I, 6), przedstawiającą „co umie morze i szalony — wicher” na historii mitologicznej Europy: albo przypomnijmy lament żony Odyssowej nad żegluga męża w pieśni „Słońce już padło, ciemna noc nadchodzi” (I, 17); albo wreszcie „Pieśń o potopie” (II, 1), przedstawiającą, jak „niebo a morze, te dwie rzeczy, były — świat zastąpiły”. Cóż dopiero mówić o obrazach morskich w metaforach. Płynąć musimy „jako na błędnym morzu”, tam „gdzie nas wichry niosą” (I, 8). Ale poeta posiada swój kompas, „który nie w pół-nocy, ale w pół zbytków bije”, łódź też jego „swym pędem pobieży” (II, 17); podobnie mówi o sobie w pieśni „Chcemy sobie być radzi” (I, 9): „Tam za bezpiecznem sercem i pełen otuchy — w równej fuście popłynę przez

morskie rozruchy". W „chytrem morzu” są niezliczone rafy, poeta modli się też („Fragmenta”, p. I) do Boga:

Uskrom z łaski swej morskie nawałności,
A podnieś ogień portu zbawiennego,
Na który patrząc, moglibyśmy tego
Morza chytrego zdrady
Przebyć bez wszelkiej wady...

W iluż zaś innych utworach morze występuje jako upostaciowanie niebezpieczeństw życia, a żeglarz uosabia odwagę i ryzyko. Nawet w „Sobótce” znalazła się wzmianka o tem.

W „Odprawie posłów greckich” morze jest czynnikiem akcji; śpiewa o niem chór, zjawia się ono w wizji Kassandry, wzywa je Menelaus na świadka — współ z ziemią i słońcem.

Występuje obraz morski i w zakończeniu „Trenów”.

W najpóźniejszych nawet utworach morze dostarcza Kochanowskiemu metafor i porównań. W łacińskim „Epinicion” (1582) Batory przyświeca „jako gwiazda przyjazna dla żeglarzy, na morzu wzburzonym gwałtownymi nawałnicami”; jego przeciwnicy ku niemu w końcu „zwracają żagle”; gdzieindziej znów porównywa go poeta do „sternika okrętu chyżego, który wiatrami przeciwnymi na Jońskim morzu został zaskoczony” i zręcznie łamie zapędy morza, „to falom się poddając, to ukośnie przez bałwany drogę sobie torując; umie on bowiem czekać, umie wytrzymywać wszelką gwałtowność i burzy i morza, byle tylko zwycięsko nawę nieuszkodzoną do pożądanego przywieść wybrzeża”.

Nie jest to wszystko tem, cośmy dziś zwykli za poezję morza uważać. Nie znajdziemy u Kochanowskiego wielkich opisów, nie znajdziemy kolorystyki, nie znajdziemy lirycznego zespalania się z żywiołem. Pamiętajmy jednak, że to wszystko są rzeczy późniejsze. „Poczucie natury” w naszym dzisiejszym rozumieniu miało się wykształcić we wszystkich krajach dopiero w XVII i XVIII stuleciu. W swojej epoce był Kochanowski napewno jednym z ludzi, najżywsze wrażenia z morza czerpiących. Świadczą o tem słowa, które morzu poświęcił, słowa polskie zwłaszcza, zwięzłe bardzo, do dziś jednak zdolne nas przecież artystycznie wzruszać.

TADEUSZ CIEŚLEWSKI (SYN).

MORZE I PALETA POLSKA.

Oglądając wielokrotnie obrazy malarzy europejskich, zauważyć można napewno, że trzy czwarte „tematów” tych obrazów stanowią kompozycje figuralne, a resztę pejzaż i tak niesłusznie zwana martwa natura. Dalej łatwo zauważyć także, że w obrazach pejzażowych trzy czwarte poświęcone są drzewom i miejscowościom górzystym, zaś reszta tylko płaszczyznom nizin i morzu. Aby uniknąć na przyszłość nieporozumień, muszę tutaj odrazu podkreślić, że ilekroć mówię o sztuce i artystach, zawsze wtedy mam na myśli dzieła wielkiej sztuki i wielkich artystów, nigdy zaś tłumu, zapelniającego bieżące wystawy pałaców sztuki całego świata.

Wracając do rzeczy, chcę zwrócić uwagę, że nie wszystko, co istnieje realnie w naturze, stanowi „temat” dla dzieła sztuki, a więc na przykład lodowce, pływające na Oceanie Antarktycznym, niebiosa nocy usiane gwiazdami, lasy palmowe, wybuchy wulkanów i wiele, wiele jeszcze innych. Zastanowienie się nad tem mogłoby (i powinno) stać się



Ryc. 158.

Władysław Ślewiński. Widok morski.

przedmiotem naszej pracy teoretycznej z dziedziny Wiedzy o Sztuce¹⁾, tutaj mogę tylko spróbować napomknąć o plusach i minusach artystycznych jednego tematu „przyrodniczego”, a mianowicie o wartościach morza z punktu widzenia malarskiego.

Nie wchodząc w bliższe rozważania na temat zagadnień: naturalizm czy interpretacja,

zaznaczę, że jednak, mimo wszelkie łzawe westchnienia laików, obraz artysty ma inne zadania i obowiązki, niż lufcik na pole, lub zwierciadło wobec twarzy pięknej (a czyż są inne?) kobiety, to znaczy, że obrazu obowiązkiem jest objawienie człowieczeństwa. Gdybym chciał się wyrazić jaskrawo, palnąłbym prosto z mostu, że dobry obraz nie przypomina natury — raczej nasuwa sugestię jakiegoś ideału nadziemskiego. Nie wierzyć — popatrzcie na wnętrza puszczy w litografiach Wyczółkowskiego, na wizje architektoniczne Noakowskiego, na pejzaże w tłach Malczewskiego, na akwarele Turner'a, płótna Corot'a.

Właśnie dopiero wtedy, kiedy w obliczu obrazu zapominamy o naturze, dopiero wtedy możemy być pewni, że obcujemy z arcydziełem — obraz jest bowiem samoistnym całkowicie światem, którego widnokręgami są jego ramy. Rzecz prosta, aby to do dna zrozumieć, trzeba być znawcą. Jestem jednak pewien, że przy rzetelnej chęci każdy człowiek zdolny jest osiągnąć to znawstwo i umieć się lubować w dziele sztuki nie dlatego, że mu ono przypomina jakiś widok z Zielonki czy Milanówka, ale jedynie i właśnie dlatego, że — jest dziełem sztuki. Uczyniłem ten konieczny boczny wypad ogólnej natury, aby móc swobodnie mówić dalej o morzu w sztuce.

Morze samo w sobie, morze poza wszystkim, co dotyczy lądu, a więc poza wybrzeżem i okrętami, morze sam na sam z niebem tylko — nie stanowi wystarczającego tematu dla artysty malarza. Czy dałoby się choć w przybliżeniu ściśle powiedzieć, dlaczego tak jest. Dlaczego pejzaż z polami i drzewami, pejzaż górski z dużym obłocznym niebem, wreszcie talerz z jabłkami na stole są na obrazie ciekawsze, niż samo „gołe” morze? Dlaczego wobec obrazu, przedstawiającego samo poza niebem i ziemią morze, doznajemy wrażenia pustki?

Zastanówmy się np. czy, obrazy przedstawiające same łąny zbożowe, lub same obłoki, czy też lasy, widziane z góry, czy takie obrazy nie robiłyby także wrażenia pustki, monotonii, wprost nudy?! Oczywiście, że tak. Natomiast jeżeli spojrzymy na pejzaż z domostwami, wnętrza lasu świerkowego z podszyciem paprociowem, a jeżeli możliwe z ma-

¹⁾ Wedle wyrażenia Eligjusza Niewiadomskiego.

łem jeziorkiem, wówczas zadowolenie osiągniemy pełne. Podobnie jeżeli wśród fal morskich na obrazie, znajdziemy okręt, czy łódź rybacką, również przestaniemy doznawać uczucia niepełności, pustki.

Myślę, że chodzi tu poprostu o niezawodny nigdy efekt kontrastu, przerywającego milczenie, ciszę, martwość, monotonię. Czy pamiętacie słynne „Przepiórki” Chełmońskiego? Dlaczego nie są nudne? Bo właśnie każda z nich



Ryc. 159.

Władysław Ślewiński. Widok morski.

jest nieco inna w kształcie, zarówno jak w barwie.

Wyobraźcie sobie, że pływacie pośród bezkresnych rozlewisk Oceanu Spokojnego, dokoła nieprzerwana monotonia rozkołysanych fal. Gdybyście próbowali je malować, po piątym płótnie przekonalibyście się, że cztery są najzupełniej zbyteczne, jako niemal identyczne z piątym. Okazuje się bowiem, że elementy kształtu morza są ubogie do ostateczności — sprowadzają się do arabesku załamujących się i spienionych fal. Jest to motyw linearny, rysowniczy, graficzny, ale nie malarski. Kontrast najlapidarniejszy (jeżeli mówimy o dniu słonecznym, kiedy morze staje się spienionym blaskiem) białej grzywy piany i czarnej wody. Gdyby chodziło o porównanie, zestawilibym ten widok z muzyką na instrumencie o jednej strunie i kilku progach. Progom tego instrumentu odpowiadałyby w temacie morza pory dnia i rodzaje pogody.

Dlatego też, o ile spotykamy w malarstwie temat morza, spotykamy go albo w związku z wybrzeżem lądu, albo ożywionego okrętami, lub tylko jako tło. Bodaj że tylko jeden Ajwazowski odważył się malować wielkie płótna, poświęcone samemu morzu, i to tylko parokrotnie.

Jako „mise en scène”, jako tło, przedstawia morze wartość pierwszorzędą, o wiele lepszą od nieba lub ziemi, a to przede wszystkim ze względu na barwę „lokalną”, jeśli o takiej w stosunku do morza można mówić, dalej na dekoracyjną zwartość i prostotę jednolitości, jakiej brak np. polom, czy chmurom. Morze posiada tyle właśnie, ile potrzeba, urozmaicenia (jako tło) w pieniających się falach. Ciemno-zielona (typowa, barwa stanowi przepyszne tło dla każdej innej z pałającą czerwienią na czele.

Barwa ta daje jednocześnie wrażenie siły i nasycenia, czego mojem zdaniem zupełnie brak barwie niebieskiej, która będąc jasną, jest wątła, będąc ciemną, jest — wybaczenie słowo — nieco trywjalna (jako tło!), szczególnie w dużej płaszczyźnie. Przypomnijcie sobie wszystkie obrazy, w których sceny figuralne odbywają się na tle pejzażów o barwach zielonych, przypomnijcie sobie przede wszystkim „Primaverę” Botticelli’ego.

Skoro już o nim mowa, przypomnijcie też sobie, że morze, stanowiące tło drugiego jego arcydzieła „Narodziny Wenus”, nie jest bynajmniej niebieskie, jak to z uporem nieposkromionym maluje pewien malarz warszawski. Botticelli rozumiał, że morze jako tło



Ryc. 160.

Z. Stankiewiczówna. Żarnowce na Jastrzębiej Górze.

ma tę właśnie przewagę nad niebem, że jest zielone, a był przecież mieszkańcem kraju, którego morze jest aż do przesady „lazurowe”, czyli jak to się u nas nazywa „neapolitańskie”.

A nasze morze? Nasz skrawek Bałtycki przy polskim wybrzeżu? Czy znacie polskie wybrzeże od Helu aż po Karwie? Czy znacie piękniejsze?

Jeżeli w moim zachwycie nad polskim wybrzeżem jest dużo przesady, tu napewno więcej tej przesady w odwrotnym kierunku znajdziecie u polskich malarzy, którzy tak stronią od Bałtyku, jak warszawiacy od Wisły. Gdybym był Niemcem lub Anglikiem, dopatrywałbym się w tem niższości kulturalnej. Zaklinam też polskich plastyków na wielkie imiona Grecji i Japonji, aby pokochali morze. Apeluję też do dyrektora Skoczylasa, aby w podległym sobie Departamencie Sztuki utworzył osobny referat morski. Dość już Paryża, Tatr i Kazimierza nad Wisłą w sztuce polskiej — nad Bałtyk, Rodacy i Bracia Malarze!

Książkę Żeromskiego „Międzymorze” należałoby rozdawać darmo młodym plastynom i żądać streszczenia jej swojemi, nie tyle słowami, ile obrazami.

Jakież niewysłowione jest piękno polskiego wybrzeża od Chłapowskiego wąwozu aż do Jastrzębiej Góry — niemal cała Bretanja w skrócie. Prawdziwy to wstyd dla palety polskiej, że ubiegł ją aparat fotograficzny Bułhaka w uchwyceniu czarów, w jakie obfituje Polska między Jastarnią a Rozewską głowicą.

Wiele się mówi o narodowych cechach w sztuce polskiej, nie widzę, dlaczego huculsko-słowaccy górale ze swym strojem, trzodownictwem i pejzażem mieli być bardziej polscy, niż Kaszubi ze swym Bałtykiem. Rzeczą talentów polskich jest wydobyć z wybrzeża morskiego polskość sztuki. Widziałem w prywatnem mieszkaniu „widoczek” z Helskiego portu Zofji Stryjeńskiej — doznałem wobec niego wrażenia, że i morze potrafi być polskie, niemal narodowe. Ale to jest pieśń przyszłości. Tymczasem ci nieliczni artyści malarze, jacy się do morza zbliżyli, jeszcze go nie rozgryźli, chodzą koło niego, jak kura koło kurcząt, a w każdym razie dalecy są od zrozumienia jego sensu plastycznego, jaki morze posiada niewątpliwie i to w bardzo swoistym charakterze.

Myszę o takim jakimś ujęciu, niemal jedynem, wartościami malarstwa tematu morza, jakiego dokonał wobec jezior tatrzańskich Wyczółkowski.

Jak dotąd, zdaje się, tylko Stryjeńska najbliższej się tego sensu znalazła, choć może

poza gronem nielicznych nikt o tem nie wie. Zrozumiała ona jego ton dominujący w barwie i w nastroju, wiecznie pół-burzliwego niepokoju.

Z nieżyjących artystów Ślewiński umiał morze rysować, umiał znaleźć rytm jego fal burzliwych



Ryc. 161.

Alfred Józef Sipiński. Hel. Port rybacki.

i jego współzycie z łodem na linii wybrzeża. Wanke operował pamięcią, z czasów pobytu nad morzem nie polskim, ograniczając się do jednego prawie zawsze efektu, jakiegoś posępnego jakby przed burzą zmierzchu, kiedy spokojna płaska toń złowrogo błyszczący pod granatowem od chmuryzsk niebem.

Siemiradzki roztaczał w swych kompozycjach barwne helleńskie morze niezamąconej pogody, morza, jakby śpiewające i tchnące subtelną wonią. Morze samo dla siebie maluje artysta, znany więcej w Rosji, niż u nas, Stachowicz. Z temperamentem akwarelisty maluje morze Mokwa, chwytając jego wietrzność i „wilgoć”. Grupie współczesnych marynistów przewodzi Włodzimierz Nałęcz, admirał palety polskiej.

Z grupy tych marynistów zrozumieniem efektów portowych i okrętowych wybija się Sipiński, jeden z jego obrazów na temat portu na Helu miał wiele zalet malarzkich.

Sekcja morska w Polskiem Towarzystwie Artystycznym co roku udziela stypendjów na studia morskie, w związku z Depart. Sztuki, dzięki czemu coraz więcej malarzy morzem się interesuje.

Kto z nich okaże się tem wobec morza, czem Fałat wobec śniegów, Skoczylas wobec Janosików, któż-to dzisiaj zgadnie.

Że taki morski Noakowski się zjawi, nie wątpię ani na chwilę i objawi nam czar karłowatych sosen helskiego boru na tle zimnego burzliwego Bałtyku pod czarnymi chmuryzskami, objawi nam piękno dzikiego Rozewia i kutry polskie na mrocznych groźnych falach. Wskrzęsi na płótnie jakiś morski Grunwald czy inną odsiecz Wiedeńską.

Jest w historii Polski kilka momentów z Bałtykiem jako tłem.

Chciałbym, żeby artystyczna młodzież polska zamiast jechać do filji Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych w Paryżu, zamiast jechać nad Morze Śródziemne, czy do Bretanii, jechała nad Bałtyk.

Bo każda wielka sztuka wywodzi się z rodzimych żywiołów: powietrza, ognia, ziemi i wody.

Niechaj i polska sztuka narodzi się, jak Wenus z piany morskiej u stromych wiszarów Rozewia tam, gdzie ongiś wylądował król polski po niefortunnej wyprawie po szwedzką koronę.

Malarze polscy winni pamiętać i to, że Conrad był Polakiem.



„POWRÓT Z DEZERCJI”.

..., Według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku, jak pestka — lecz otaczał zzewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło, jak blask oświetla opary, na wzór mglistych aureoli, widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca” — tak charakteryzuje Conrad opowiadania Marlowa, pod którego maską sam występuje niejednokrotnie. Sens otacza opowieść — powtarzamy, albowiem niema żaru wyobraźni, niema takiego napięcia twórczości, któreby zdołało przetopić w kryształ jeden, w skondensowaną twardziznę niesłychanej złożoności zjawisk życia — tajemnicę indywidualności ludzkiej.

Conrad staje wobec tej indywidualności w podziw i zda się cieszyć nie, gdy może twierdzić, że oto ją poznał, przeniknął, ale właśnie wtedy, gdy wydobywa ona coś najzupełniej niespodziewanego, coś, co jego samego, jej twórcę — wprawia w zdumienie. W jaki sposób ograniczony, głupkawy człowieczek staje się bohaterem wytrwania i mistrzem w opanowaniu tłumu? (Tajfun). W jaki sposób głosiciel cywilizacji i postępu zostaje pospolitym zbrodniarzem, rabusiem? (Jądro ciemności). Dlaczego dzielny oficer porzuca swój statek w chwili niebezpieczeństwa? (Lord Jim). Jak to się dzieje, że ostatnia jędrza zostaje kapłanką znicza miłości ojczyzny? (Fantazja Almajera). Jak ograniczony, tępy murzyn tyranizuje całą załogę, ludzi białych? (Murzyn z załogi Narcyza). I można by było mnożyć ten szereg zapytań, można by było wypisać tu tyle, ile dzieł Conrad napisał i ile sytuacji stworzył, sytuacji, tętniących prawdą wewnętrzną, sytuacji ledwo zaznaczonych z jakimś mistrzostwem zupełnie nieporównanem. Bo zupełnie brak Conradowi bodaj cienia demagogji, lub efekciarstwa. Uśmiech trupiej głowy zatkniętej na drągu, i kilka słów zmanierowanego włóczęgi zarysowuje przed nami całą otchłań okrucieństwa i złości belgijskiego nosiciela kultury, lekko rzucony obraz ściągania żagli (Młodość) zarysowuje „genjusz rasy” ludzi morza.

Każdy szkic Conradowy — to cała galerja ludzi, ludzi żywych, zdumiewających wyrazem — to niby wspaniałe, przepyszne płótno Matejki, na którym ostatni statysta posiada pełną indywidualność.

Poeta morza — poeta żywiołu, widzi ten żywioł wszędzie. Morze bywa czasem długo — strasznie długo — zupełnie spokojnie, aż ukaże całą swą grozę straszliwą w oku cyklonu. W takim oku cyklonu znajdzie się czasem człowiek. Patrzy nań Conrad i czeka, aż mu się dusza zbałwani.

I może stąd płynie niesłychana lojalność Conrada względem swoich bohaterów — lojalność posunięta do ostatecznych granic, lojalność zmuszająca patrzeć na ludzi pomimo faktów. Kapitan, ukrywający zabójcę (Ukryty sojusznik), inny jego kolega, osłaniający tajemnicą upadek moralny człowieka (Jądro ciemności), rewolucjonistka, opiekująca się szpiegiem (W oczach Zachodu), a zresztą owa tkliwa opieka, którą otacza autor zaprzaneów w rodzaju zgryźliwego doktora (Nostromo), to są przykłady nie wyrozumiałości, ale szczytnego poczucia obowiązku wobec każdej jednostki, z którą los zetknął — każdej, oddanej tak czy inaczej choćby przez najprostszy przypadek pod moją opiekę. Conrad to wielki mistrz mądrego prawa, które jest ponad prawem — ogromnej moralności ponad formalną etyką.

Dziwne zaiste były jego losy. Uszedł z Polski, bo jak sam przyznaje (Wstęp do Nostroma) duszno mu było w tym kraju smutku, klęski i obowiązkowej żałoby. Duszno mu było w Krakowie, zbyt ciężkie było brzemię spuścizny ojcowskiej walki — bezna-

dziejnej. Rwał się w świat. Dzieckiem będąc, jak opowiada gdzieindziej, miał pasję do map i nieraz na ich białych plamach kładł palec i powiadał sobie — tu będę. A nad zmianą miejsca pobytu nie zastanawiał się — jego znów słowa—więcej, niż nad przejściem z jednej strony ulicy na drugą. Gdy do tej nieposkromnionej włóczędzy najwięcej pola znalazł w imperjum Brytyjskim, przylgnął doń, zapominając niemal zupełnie o kraju rodzinnym. Stał się angielskim żeglarzem. Dominjum Australskie dało mu pierwszą komendę nad statkiem. Laur sławy literackiej dała mu Angja za utwory w angielskim pisane języku. Jestem zepsutem przybranem dzieckiem Wielkiej Brytanji — powiada o sobie. A jednak coś go gnębi. On jest dezterterem.

Wiem o tym ciąglým wyrzucie nietylko z bezpośrednich rewelacyj jego znakomitej tłumaczki i krewnej, p. Anieli Zagórskiej. Dowodem tego są nietylko takie utwory, jak „Książę Roman”, w których sam otwarcie ku Polsce się zwraca — ślady tej stasziwej tęsknoty tego poczucia niewypełnionego zobowiązania znajdziemy nieomal w każdym jego utworze. Jakiegoż zachwytu pełen jest Conrad dla legendy niepodległości (Ocalenie, Szaleństwo Almajera). Jakim podziwem umie otaczać jej szermierzy (Nostromo), z jaką bolesną pasją będzie rozdzierał, analizował momenty zaprzaństwa w każdym ze swych bohaterów, aż do Heysta włącznie (Zwycięstwo). Opuszczony kraj jako wielkie widmo-wyrzut stanie nad nim i będzie zaglądał w jego sumienie i będzie poił się jego męką dojmującą. Conrad sam wpatrywać się będzie wciąż w aureolę świetlną tej męki, że słów jego własnych zacytowanych na początku użyjemy.

A przecież, jeżeli którakolwiek zdrada, jakiegokolwiek zaprzaństwo było w skutkach swych błogosławione — to właśnie to.

Myśmy w niewoli rozwijali w marzeniach, rojeniach, programach wszystkie atrybuty niepodległości, wszystkie jej agendy. Rycerskiego ducha kształcił w nas Sienkiewicz — odpowiedzialność społeczną rozwijał na czele całego szeregu innych Żeromski — tylko morze pozostawało nam obce, nie tylko w życiu, ale w poezji. Ten sam Żeromski, wielki genjusz walczącej o niepodległość generacji, morze widział tylko z aeroplanu — lub z brzegu. Rozważania Cedry nad jego potęgą są nawet w obozie napoleońskim tylko kosmicznej natury. Lwy Marka są bliższe nam od bezbrzeżnych obszarów oceanu. A kiedy już pierścień Czarnego Dunajca spoczął na dnie Bałtyku, gdy pierwsze pale pod port polski w Gdyni zabite zostały — morze polskie było tak obce, że pionierstwem jego letnicy się trudnić musieli — a Żeromski mógł pisać tylko poemat nadbrzeża, a właściwie samego Pomorza.

I wtedy powraca Conrad. Powraca z całem ogromnem doświadczeniem marynarza oceanów świata, powraca z całą potęgą przeżyć na tych morzach, przeżyć swej duszy słowiańskiej, lechickiej, rycerskiej, a pełnej rozterek, która pairzyła na światy obce i całe ich bogactwo i wszystkie skarby przeniosła do Polski.

W jego poezji morze przestaje być legendą, marzeniem, ukochaniem — jest koniecznością, jest musem nieodpartym. To niema nic wspólnego z yachtingiem, z zainteresowaniem sportowem, jest to coś, co jest treścią życia.

Morze staje się chwilami przekleństwem, codzień powszedniością — czasem — uniesieniem. Morze to nietylko furja żywiołu, albo jego zmartwienie w zeszkleniu się taflí wodnej — ale też i to geneza specyficznej etyki marynarskiej, która jest może najwyższym wyrazem etyki społecznej.

Człowiek za burtą. Hasło, które wszystkich podnosi w jednej chwili na pomoc jednemu. Praca ponad obowiązek, praca nie ze względu na powinność względem kogoś trzeciego, ale na wszechrozkażną zasadę koleżeństwa. A dalej tajemnica odpowiedzial-

ności kapitana — odpowiedzialności absolutnej, której z nikim nigdy podzielić nie można, (Tajfun, Smuga Cienia) której niczyja rada, niczyja sugestia nie umniejszy nigdy.

A wreszcie owo stopienie się w jedność ze statkiem — w jedność, którą świat cały dzieli na moje w obrębie burty i obce wszystko, co jest za burtą, jedność ekstazy — niemal, jaką znajdujemy w niesłychanej pod względem twórczym „Smudze Cienia”, utworze, stanowiącym klucz do psychiki morskiej.

Conrad wszedł, powrócił do Polski z tak olbrzymim bogactwem treści wewnętrznej, że oczarował wszystkich. Przez niego — zaryzykuję zdanie — stała się zrozumiała sama Gdynia, przez niego podniosło się odczucie konieczności posiadania własnej marynarki — przez niego staliśmy się naprawdę narodem, jeżeli nie morskim — to przynajmniej nie obcym zupełnie morzu.

Kto chce zacieśnić doniosłość Conrada dla Polski do sprawy handlu i podróży — popełni błąd. Morze bowiem to nie tylko posiadanie okrętów — to ten czynnik, który poczucie lojalności i odpowiedzialności utrwała w szerokich sferach społecznych, co tworzy takie granitowe społeczeństwa, jak Norwegów, jak Anglosasów, które tworzy siłę i hart nie tylko w jednostkach, lecz w społeczności, gdzie każdy chłopcem na statku być musi, zanim zostanie patronem łodzi, kutra, żaglowca czy kapitanem potężnego pancernika.

Wpływ Conrada dopiero jest w zaczątku. Pocznie on ciężać na nas swą siłą fatalną coraz mocniej, coraz potężniej, aż jego następcom stworzymy warunki takie, że po tchnieniu mórz południowych nie będą musieli uciekać do obcych.

JAN SOBCZAK.

NAZWY OKREŚLAJĄCE CZAS U SŁOWIAN.

Nie zwracamy najczęściej uwagi na przedmioty, z którymi się codziennie stykamy, bowiem tak często widziane nie interesują nas. To samo dotyczy wyrazów, określających pewne pojęcia, potrzebne nam do ciągłego komunikowania się w życiu. Takimi częstymi wyrazami-pojęciami są nazwy czasu, używane codziennie, choć nie znamy ich życia, różnorodności form czy też pochodzenia.

Wyrazy tu przedstawione, oczywiście nie wyczerpują bogactwa form, związanych przeważnie z ludem, jego zwyczajami i wyrosłych na podłożu bujnej fantazji czy też z gospodarczych czynności ród wywodzących.

Dzień rozpoczynamy *brzaskiem*. *Brzeszczy* się, znaczy *dnije*. W Psalterzu Florjańskim mamy *brzeżdzenie*, w Puławskim *z zarania*. W starosłowiańskim *pobrëzgo*, *probrëzgo* — to brzask jutrzenny. Po czesku *břesk* albo *zabřezdenie*. Awestyjskie *brāzaiti* oznacza jaśnieje, świeci.

Po brzasku następuje *świt*, *świtanie*, po świcie *ranek*, *ranny czas*; *poranny*, gwiazda *zaranna*. Po kaszubsku *zawitro* — to rano, *zawitrze*, *zajitrze*, a *zawitrzny* — ranny wiatr, *zawitrzniejsza* gwiazda. *Jutro* o dawnym znaczeniu rana jest w *jutrzence*, *jutrzni* — rannem nabożeństwie. W staropolskim stale mamy *jutro*, z *jutra*, np. „wstaw z *jutra*”, „był z *jutra*”, „aż do *jutrka*” — znaczy do zarania; w Kazaniach Gnieźnieńskich: „od *jutra* aż do południa”. Stsl. *utro*, czeskie *itřně*, dolno łużyckie *jutšo*, „aż do *jutša*”.

Pojmowanie *jutra* jako *mane* przyszło zapewne od ludów wschodnich, bowiem Żydzi do dni dzisiejszych rozpoczynają dobę o godzinie szóstej wieczorem, a tydzień następny w sobotę po sabacie. U Mahometan doba poczyną się z zachodem słońca, a każdy nowy miesiąc ukazaniem jasnego łuku księżyca po nowiu.

Prasłowo *jutro* — rano, zatraciło swoje poprzednie znaczenie i przeniesione zostało na określenie dnia przyszłego, najbliższego po dniu dzisiejszym, a zatem *jutro*, *pojutrze*, *jutrzejszego* dnia. Po kaszubsku *witro* — jutrzejszy dzień, po *niewitrze* — pojutrze.

Dalszy podział *dnia* to: *przedpołudnie*, *południe* — drugie śniadanie, *połnie* — ludowe, *podwieczór*, *podwieczerek* — jedzenie, *wieczór*, *wieczorny* czas, *wieczerać*. Stł. *večern*, „otb cъ večera do utrnie”, *večera*, *večera* (Głag. Cloz.). Polskie *wczora(j)* skrócone z *wieczora*, przeniesiono na dzień ubiegły. Po kaszubsku *wczera*, dłuż. *wcora* (wczoraj), *wcorajski*, *wcorajšny*, *wcorajšy*. Mamy jeszcze: *niewczora*, *poniewczora*, *zaniewczora*, *pozawczoraj* *przedwczoraj*.

Dzień — określenie czasu od brzasku do zmroku. Dawne prawo określało dzień od wschodu do zachodu słońca. Stł. *děnb*, *denb*, *děnb*, *denb*. Po czesku *den*, dłuż.¹⁾ *žeń*, Gsg. *dňa*, na drugi *žeń*, głuż, *dzeń*, serbsko-chorw. *dan*. Pochodne w polskim: dzienny, dzionek, codzienny, każdodzienny, ty-dzień, tygo-dniowy, cotygodniowy, każdotygodniowy, dwutygodniowy, dniowy, dwudniowy, dzień, odnieć, odednieć, rozednieć, południe, południowy, południk, popołudnie, przypołudnie, przypołnica, dziś, dzisiejszy, onegdaj, onegdajsz, powszedni, Dzień powszedni znaczy *wsze* — *wszystkie* dni jeden do drugiego podobne, w odróżnieniu od niedzieli. Stł. *vsb* *děnb*. Po kaszubsku *posziden*. W modlitwie: chleba *powszedniego* daj nam dzisiaj. Każdy dzień przed świętem lub jakąś uroczystością będzie *wilja*. Przeciwstawieniem dnia jest *noc*. Dzień okazał się w niektórych wypadkach silniejszym: Wielkanoc — wyraz złożony odczuwamy go już jako dzień uroczysty, święto; nazwa przeniesiona została na dzień.

Noc — to znowu okres czasu od zachodu do wschodu słońca. Pochodne: *północ*, *północny* czas. Stł. *nošt*. Po czesku *noc*, rosyjsku *noč*, greckie *νύξ* (*nyks*), ind. *nakti*.

Noc i dzień to już *doba*. Czeskie i dłużyckie *doba*, znaczy czas, serbsko-chorw. w tym samym znaczeniu. W okolicach Raguzy *doba* oznacza także *wiek*, a godzina — to *dobnica*.

Siedmiodobowy przeciąg czasu, *tygodniem* nazywamy. *Tydzień* odpowiada w przybliżeniu czasowi odmian księżyca. Jako rachuba czasu był używany od najdawniejszych czasów. U Żydów rozpoczynał się po skończonym sabacie, a z rozwojem chrześcijaństwa, tydzień używany przez Żydów przyjął się w Europie; Grecy zaś dzielili miesiące na trzy dekady, a Rzymianie mieli tydzień ośmiodniowy (*nundinae*).

Rozpatrując etymologję wyrazu *tydzień*, niektórzy uczeni przypuszczali, że powstał ze zwrotu: na *ty dni*, używanego po klasztorach przy wyznaczaniu dla zakonników zgóry zajęć na oznaczone dni, albo, że pierwszy człon tego wyrazu zawiera w sobie starą formę mian. l. p. zaimka wskazującego *ty*-, która została już dość wcześnie usunięta z języka przez formę *ten* — ten sam dzień powtarzający się po przeciągu siedmiodniowym. Pierwotnie odmieniały się oba wyrazy: *temu dniu*, *w tem dniu*, *tych dni*, jak do dnia dzisiejszego u Czechów, u nas zaś zrosły się w jedno, np.: *tydniów*, *gody tydniowe* — święta, a w XVI w. stale *tegodnia*, *w tegodniu*²⁾.

Poza polszczyzną odpowiedniki wyrazu *tydzień*, posiadają języki: czeski *týden*; *tehoden*; słowacki *tideň*, *tyždeň*; kaszubski *tidzen*; głuż. *tydzeń*; dłuż. *tyzeń*; małor. *tyždeň*, serbsko-chorw. *teden*, *tjedén*; także mianem *neděl'a*, w Bośni *nediglja dana*, a nawet *sedmina* (siedem dni). W dialektach polskiego obszaru językowego spotykamy także: *dwie niedziele*, *trzy niedziele* jako określenie dwóch, trzech tygodni.

Pierwszym dniem tygodnia jest *poniedziałek* — dzień po niedzieli. U narodów romańskich i germańskich poświęcony księżycowi (łac. *dies lunae*). Po kaszubsku *ponedzelk*,

¹⁾ Skrót „dłuż.” — oznacza: dolno-łużyckie; „głuż.” — górno-łużyckie.

²⁾ Patrz: Język Polski № 1 i 3, rok 1928.



Ryc. 162

Średniowieczne wyobrażenia miesięcy: marzec, luty, styczeń, grudzień; u góry znak zodiaku, u dołu typowe dla każdego miesiąca zajęcia gospodarskie. (Z portalu katedry w Amiens we Francji).

czesku *pondělí*; serbsko-chorwacku: *ponedelek, pondelek, ponediljak, pondeljek*; ros. *понедельник*. Stsl. *ponedělnikъ*.

Wtorek, bo jest wtórym dniem tygodnia. Po czesku *úterek*; serbsko-chorw.: *tark; tork, torek*.

Środa, dzień Merkurego (Mercurii dies), dzień w środku tygodnia. Według Mittwoch nazwał Słowianin dzień tygodnia *środa* — środkiem już w VIII wieku (Sl. Etym. Br.). Stsl. *śrěda*; w starop. *srzoda*, a nawet w XVI wieku *rsioda*; po czesku *středa* lub *středni den*, słowacku *strede, sreda*; dłuż. *sroda*; głuż. *srjeda*; ros. *sredá*; serbsko-chorw. *šrěda, srida, srjeda* lub też poprostu: trzeci dzień po niedzieli.

Od czwartego urobiono nazwę *czwartku*. Dzień ten u wszystkich Słowian poświęcony był Perunowi (dzień piorunu) — *Peren-dan*; u Rzymian Jowiszowi-gromowładcy; u Skandynawów bożkowi wojny i grzmotów Torowi, stąd dzień ten u Duńczyków *Torsdag*; u Niemców *Donnerstag*. Stsl. *četurьtьkъ*; dłuż. *cwartk*; ros. *četverg*; serbsko-chorw.: *četurtak, četrtak*.

Piątek, bo piąty dzień w tygodniu. Indyjskie *pankti-*, łac. *quintus*. Dzień ten poświęcony był w starożytności Wenerze (Veneris dies), stąd też wywodzą się romańskie nazwy: fr. *vendredi*, wł. *venerdi*. U ludów germańskich podobnie poświęcony był bogini miłości Friggi, a stąd niemieckie *Freitag*, ang. *Friday*. Stsl. *petьkъ*. Po czesku *pátek*; dłuż. *pětk*; głuż. *pjatk*; serbsko-chorw.: *petak, petek, petk, peti den*; ros. *piatnica*.

Sobota oznaczała pierwotnie dzień poprzedzający święto szczególnie uroczyste i stąd prawdopodobnie Sobótki przeniesiono na uroczysty wieczór-noc przed św. Janem, 23-go czerwca z pogańskiej nocy Kupały. Pochodzenie soboty jest hebrajskie. Greckie *σαββατον* znaczyło odpocznienie, przestanie pracy. Rzymianie dzień ten poświęcili Saturnowi (dies Saturni), Chrześcijanie N. M. Pannie. Stsl. *sъbota*. Po czesku i słowacku *sobota*; serbsko-chorwacku: *sobota, subota*; bułgarsku *sъbota*.

Nazwa *niedzieli* pochodzi od zakazu pracy w ten dzień. Od *ne-dělja* — niedziałania, iż się w ten dzień nic działać nie godzi. W greckiej cerkwi *πраздникъ* — święto,



Ryc. 163.

(Z portalu katedry w Amiens we Francji).

Średniowieczne wyobrażenia miesięcy: listopad, październik, wrzesień, sierpień.

упразднение отъ дѣла — próżnowanie. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa świętowano soboty. Dopiero Kopstantyn W. zakazał w niedzielę pracy z wyłączeniem pracy na roli (rok 321), jako w dniu, poświęconym Panu (dies Dominica). Ostatecznie w ósmym wieku zabroniono w niedzielę wszelkiej pracy, co dziś przestrzegane jest w kościele Anglikańskim. Po czesku *neděle*; słowacku *nedela*; dłuż. *ńeżela*; głuż. *njedźela*; serbsko-chorwacku: *nédelja*, *nédela*, *nedelski* dan.

Dłuższe okresy czasu dzielono na słoneczne i księżycowe. Podstawą do mierzenia były regularnie powracające zjawiska astronomiczne: obrót ziemi dookoła słońca i wokół swej osi. Okresy księżycowe miały nazwy nieustalone. Każdy miesiąc u Słowian posiadał swoje charakterystyczne cechy, każda z tych cech mogła się stać z powodzeniem tematem nazwy, tembardziej, że umowy społecznej co do nazw nie było, powstawały więc w różnym czasie i w różnych miejscach. Do tej różnorodności kościół dorzucił swoje nazwy łacińskie i greckie, a zatem dla Słowian niezrozumiałe i obce.

W Polsce nazwy miesięcy ustaliły się ostatecznie przez wzrastające poczucie jedności narodowej za pośrednictwem szkoły i literatury.

Pierwszym miesiącem jest *styczeń*, albo *tyczeń*, bo wtedy zabiegliwy gospodarz przygotował tyki, względnie bo dotyczył roku starego. U Rzymian poświęcony był bożkowi Janusowi. Stł. *prosinec*; cerk.: *sěčens*, *prosinec*. Po czesku i słowacku: *hruden* i *leden*; dolno-łużycku: *zachopny mjasec* czyli rozpoczynający rok nowy; górno-łużycku: *vulki rōžk*; rosyjskie dawne: *sěčens*, ludowe *vasiljev mėsjac*; małoruskie: *šičeń*; po bułgarsku: *studenijst*, *golēm sēčko*; serbsko-chorwacku¹⁾: *sječanj*, *sičanj*, *prosinac*, *pervník*, *novolětník*, *mali božičnjak*, *zimec*.

Luty od mrozów srogich, lutych, nazwę bierze. Jako wyraz w ciągu XVI wieku uległ ciekawym zmianom. Pierwotne jego znaczenie srogi, luty (severitas), przeszło w litość

¹⁾ Serbsko-chorwackie nazwy miesięcy różnią się przeważnie wymową trzech główniejszych dialektów sztokawskiego, czakawskiego i kajkawskiego.



Ryc. 164.

(Z portalu katedry w Amiens).

Średniowieczne wyobrażenia miesięcy: lipiec, czerwiec.

(*misericordia*) w coś wręcz przeciwnego. Przymiotnik ten nieznanego pochodzenia występuje w wykrzykniku cerkiewnym *lutiel* (biada!). Luty nazywany jest jeszcze u nas *strąpaczem*, bo drogi strzępi, także *gromnicznikiem* od gromnic na dzień N. M. P. Oczyszczenia; występował jeszcze jako *sieczeń* i *jacień* (yathen). Po czesku i słowacku *unor*, albo też *leden* — ale to rzadkie; dłużycku *swěckowny mjasec*; głużycku *mały różk*; dawne rosyjskie *bokogrěj* od *grěti*, bo w lutym już można ogrzewać boki na słońcu, także *sěčeno*, *ljutyj*; po małosk: *ljuteń*, *ljutij*; bułgarsku: *sečka*, serbsko-chorwacku: *si-*

čen, *svičničar*, *veljača*, *drugnik*, *svecnica*. W staroruskim nazywany był jeszcze: *svadebnij*, *svadebnik* (Sacharov: Skazanija russkago naroda).

Marzec przedostał się do nas z dawnego czeskiego *marec*, a Czesi wzięli z *Martius* łacińskiego. U nas nazywany był także *unornikiem*. Stł. *lżujek*. Po czesku i słowacku *březen*, *květen*; dłużycku: *pózymski*; głużycku: *měrc*, *pozymski*, bo po zimie następuje, właściwie kończy zimę. Po rosyjsku dawniej: *mart*, *berezozol*; małosk.: *berezozol*, *marec*; bułgarsku: *lažu*; serbsko-chorw.: *ożujak*, *žuja*, *marač*, *lažak*, *sušac*, *gregurščak* od Grzegorza.

Kwiecień, dawniej też *łykwiatem* zwany, bo wyludzał przedwcześnie z ziemi kwiaty; także z czeska *děbień*. Stł. *brězn*, *brězok*, *april*; w cerkiewnym: *berezozol*, *aprilij*; po czesku *duben*, dłużycku: *hapryl*, *jaśman*, *jaśowny mjasec* (jaśy to Wielkanoc, niemieckie Ostern); głużycku: *pril*. Rosyjskie dawne: *brezen*, *květeń*, *cvěteń*; małosk.: *berezeń*, *cviteń*, a także z czeska *dubeń*; serbsko-chorw.: *travanj*, *cvitanj*, *mali travanj* od małej jeszcze trawy, *gjurgevščak* od św. Jerzego.

Maj — utrwaliła się u nas nazwa łacińska. U Rzymian bogini Maja utożsamiana była z boginią ziemi, dla której podczas kalendów w maju zabijano prośną świnię. W mitologii indyjskiej jest ona matką Bramy i boginią całego świata widzialnego, występującej w towarzystwie pra-twórcy. W Polsce przedchrześcijańskiej była to bogini wiosny i zieloności — stąd także i maj. Stł. *travn*, *traven*, *trěvn*; w czeskim *tráven*, *trnopuk*, *maj*; dłuż.: *majski mjasec*, *nalětny* — idący na lato; głuż.: *mejski*. W rosyjsk. *mur* (pskowski dialekt). Małosk.: *traveń*, *jareć* (Pamiętki i Obrazcy). W bułgarskim: *lěten*. Serbsko-chorwackie: *veliki travan*, *maj*, *svibań*, *žoltopuśnik*, *rožocvent*, *cvětičnjak*, także *filipovščak* od św. Filipa.

Czerwiec od czerwca pszczołnego, lub też od czerwca toczonego drzewo wziął nazwę; dawniej: *czerwień*, *czyrwiec*, *wielgi maj*, także *ugornik*, zapewne od ugorów, pozostawianych dla bydła, również *zok*. Stł. *izok*; nazwę tę łączą z okresem najścia szarańczy, z nazwą konika polnego (cicada), a nawet z płodnością (genitalia feminea) jaka się w czerwcu w przyrodzie odbywa (Miklosich w „Die Slav. Monatsu.”). W czeskim, *růžen*, *mały červen*, *červen menši*.

Dolnołużycki ma: *rožovy mja-sec, smažski, głuż.: smaž-nik*, w ros.: *červenø, izokø*; w małorus.: *červeń, červeć*; w bułg.: *sēnokos, crøvenikø, petrovskijøt*; w serb.-chorwackim: *svibønø, čerešnarø, ivanj-ski, jivančak klašen, petrov-ski, lipanj, krēsnik* od krzesania ognia, *rožnic vèt, rožen cvět, smarski* od kwiatu *šmarnica*.

Lipiec od lip kwitnących nazwany. Łacińska nazwa pochodzi od imienia Juljusza Cezara. Stł. *srøpønø*; w czeskim występuje *sečen, červen veliký, červenec* — od tego, że owoce zaczynają się czerwienić; w dłuż.: *žñojski mjasec*; w ros.: *sēnozornikø, ludowe groznikø, także lipecø*; małoruskie: *l'ypeć, l'ypeń, koseń, sinokos*; bułgarskie: *gorešnikøt, ilinskijøt* od Eljasza; serbsko-chorwackie: *srpanj, žar, lipštak, jakovčak, mandelenski* od św. Magdaleny, *sedemnik, mali srpen*.

Sierpień, sirzpień od nazwy narzędzia. W kilku tekstach z XV w. *stojącza*, może dlatego, że przyroda w tym miesiącu dobiega pełni rozwoju, a zatem staje, przestaje się rozwijać. Stł. *zarevø, serpenø*. W czeskim *srpen*; dłuż. *jacmeński mjasec*; głuż. *žneńc*; w ros. *zorničnikø, serpenø, zarevø*; w małor.: *serpeń, kyveń* — od tego, że konie z wielkiej spiekoty, duszności i owadów nie pasą się a tylko głowami kiwają i oganiają się od much; w bułgarskim: *bogorodicenskijøt*; w serbsko-chorwackim: *gospodinštak, kolovoz, velikomanšnjak, zrilivoča* (dojrzałe owoce), *velki srpan, osemnik*.

Wrzesień od kwitnących wrzosów, był również *pajęcznikiem*, także *stojęczeń, stojęcza, siveń, winnik*. Stł. *rjujinø, vrēsønø*; cerkiewne *rjujenø, vrēsønø*. W czeskim: *vřeseń; zāti, řijen, řújen*, w małor.: *veresen, babyne l'ito, šiveń, traveń malij*; bułg.: *grozdober, starorusk.: revunø* (Sacharov); serbsko-chorwackie: *malomašnjak* — od małej mszy ku czci N. M. P. ósmego września, *rujan, miholjščak, mihaoščak, miholjski, kimavec, jesenščak*.

Październik od października wywodzi swoją nazwę. Stł. *listopadø*. W czeskim jak i wrzesień: *řijen* (proto że jeleni toho času počínají řiti. Linde); dłuż.: *winski mjasec*; głuż. *michalski mēšac*; w rosyjskim: dawne *grjaznikø, zazimje, pazdernikø*; w małor. *žolteń, pazdernyk*; bułg.: *dmitrovskijøt* — od Demetriusa; serbsko-chorw.: *lukovčak, miholjski, listopad, kosaperik* (Kraina), *vinotok, obročnik*.

Listopad od masowego opadania liści z drzew. „Likiem niezliczonem liść pada” — Linde. Stł. *grudønø, grudønø*; cerk.: *listopadø*. W czeskim i słowackim *listopad*; dłuż.: *młosny mjasec*; głuż.: *mērcinski mēšac*; w starorusk.: *grudønø, listopadø*; w małor.: *l'ystopadeń, padołyst*, w serbsko-chorw. *studenj, sisveščak* od Wszystkich Świętych nazwany, także *listovgnoj, gnile, ednastnik*.

Grudzień od grudy. W starop. *prosień proszeń* — pochodzenie tego wyrazu nieznane. Może być, że pochodzi od kołaczy z prosa, albo od t. zw. mieszanki-karmy dla



Ryc. 165.

(Z portalu katedry w Amiens).

Średniowieczne wyobrażenia miesięcy: maj, kwiecień.

bydła, składającej się z siana, słomy prosianej i owsianej; od mniemania, że w grudniu najczęściej prosiat się rodzi, albo, że od chodzących po kołędzie ubogich, którzy sobie podczas Świąt Bożego Narodzenia obfite podarki wypraszają; od wyrazu prosinieti (illuminare) światłości, bo w tym miesiącu następuje przesilenie i rozpoczyna się przybywanie dnia—światłości. Stsl. *studnъ*, *studenъ*; cerk.: *studenъ*, *grudenъ*. W czeskim: *vlčenec*, *prosinec*; dluž.: *zymski mjasec*, głuż.: *vjelči mësac*; w ros.: *studenъ*, *solnovoroť* (conversio solis); w małor.: *studenъ*; *trusym*, *grudenъ*; w serbsko-chorw.: *prosinac*¹⁾, *gruden*, *božićni*, *zymski veliko božićnjak*.

Bogactwo nazw dla miesięcy u Słowian jest duże, a w szczególności wśród Słowian południowych. Wpływały na to nie tylko różnice terenowe, kulturalne, ale i kościelne. Lud przywiązany do tradycji, podtrzymuje jeszcze tę różnorodność, zanikającą w czasach dzisiejszych przez wpływy szkoły i literatury. Na południu utrwalają się nazwy łacińskie. Szkoda. Niejedna nazwa Słowiańska bardziej odpowiadająca porze roku, czy też związana z zajęciami gospodarczymi, często piękna, zostanie wkrótce wyparta przez obcego duchem przybysza.

Z kolei, jako większe okresy czasu, następują pory roku, które odpowiadają znowu różnym położeniom ziemi względem słońca. *Nasza wiosna*, ludowe *wiesna*, wywodzi swe źródło według etymologii ludowej od wsiania, jak *jesień* od osiania pól. Cerkiewne *vesna*; indyjskie: *wasanta*. W czeskim: *vesna*, *podlěto*, bo pora poprzedzająca lato; dluž.: *naletu*, *naletni*; serbsko-chorw.: *spomlad*, *vigred*, *mladu leto*. Nawet w rosyjskim *wiesna*—już nie *ver* łacińskie wzorem miesięcy, których nazwy z łaciny przyjęły się i utrwaliły.

Lato w językach słowiańskich nie tylko porę roku oznacza, jest również pojęciem szerszym dla czasu, np.: *kilka lat* w l. mn. Pojęcie to rozszerzyło się dlatego, że lato jako pora roku, w której przyroda dochodzi do najwyższego punktu rozwoju i bogactwem płodów, wywierała największy wpływ na całe życie społeczne.

Jesień Czesi nazwali *podzimem*; w ros.: *oseń*, w serbsko-chorw.: *jesen*, *predzima*, *podzimak*. *Zima* u wszystkich Słowian.

W ciągu roku ziemia przebiega drogę wokół słońca. Rok u Rzymian zaczynał się marcem i nie odnosił się ani do słońca ani do księżyca. Numa do istniejącego roku dodał dwa miesiące: *januarius* i *februarius*, którymi rok się kończył. Niedokładność kalendarza zmuszała władze do publicznego ogłaszania pierwszego dnia w miesiącu, który nazywał się „*calendae*”. Juliusz Cezar objąwszy dyktaturę, usunął dopiero nieład kalendarzowy. Rozporządził, aby rok zawierał 365 dni, a dla sprostowania błędu wynikającego z opuszczanych corocznie sześciu godzin, dodawano do każdego czwartego roku jeden dzień; czterem miesiącom nadano po 30 dni, siedmiu po 31 dni, dla lutego zaś 28 a każdego czwartego roku 29 dni; początek roku ustalono na 1-go stycznia. Pierwszym tak zreformowanym rokiem był 44 rok przed Chrystusem i rachubie tej nadano nazwę: *jułjańskiej*. W rachubie tej przez dodawanie co cztery lata jednego dnia, dodawano za dużo o 44 min. i 48 sek., a do roku 1582-go, słońce wyprzedziło już kalendarz o 10 dni, a zatem porównanie dnia z nocą miało 21 marca, wypadło 11. Papież Grzegorz XIII w bulli z 24 lutego 1582 r. rozkazał w miesiącu wrześniu opuścić 10 dni. W Polsce reformę kalendarzową gregoriańską wprowadzono w cztery lata później, w Niemczech zaś dopiero w 1700-nym.

Nasz rok wywodzi się z roków sądowych, raz do roku zdarzający się termin. Owa cząstka rozszerzyła się na całość, na cały rok astronomiczny—od jednego roku sądowego do drugiego. W ten sposób uzyskano symbol językowy dla pojęcia miary czasu, t. j.: roku astronomicznego. To samo zachodzi na Rusi. *God* oznaczał pierwotnie dzień ocze-

¹⁾ Słowenja i Kroatja nazwę tę mają dla stycznia — są to różnice stylów kalendarzowych.

kiwany, święto oczekiwane, zdarzające się raz do roku i tak samo stał się ów termin symbolem roku. Cerkiewne i czeskie *god*, u nas pora *dogodna*. Rok zeszły lud nazywa *łoni*, *łońskiego* roku, przestępny nazywano *przybycień*, bo jeden dzień przydawał. Pierwszy dzień w rozpoczynającym się roku, to *Nowy Rok*, *Novyj God* obchodzony uroczystie. Dawniej w Polsce dzieci biegały po *nowym lecie*, a starsi dawali sobie *nowe lato*, co oznaczało podarki, a do dziś zachowane w ogólnie przyjętych życzeniach: „Z nowym rokiem”, z „*Novym godom*”.

ŹRÓDŁA:

- | | |
|--|--|
| Brückner Al.: <i>Słownik etymologiczny języka polskiego</i> , W-wa 1927 rok. | Miklosich Fr.: <i>Lexicon palaeoslovenico. graeco-latinum</i> . Słownik dolno-łużyckiego języka Muki |
| Łoś Jan: <i>Gramatyka polska</i> , Cz. II-ga. Słownictwo. 1925 rok. | „ języka polskiego i ruskiego Dubrowskiego |
| B. Linde: <i>Słownik</i> . | „ małorusko-niemiecki Żelechowskiego, Lwów 1886 r. |
| Miklosich Fr.: <i>Die Slavischen Monatsnamen</i> . | Słownik czesko-niemiecki Jungmanna, Praga 1835 r. |

ZYGMUNT KOCZOROWSKI.

KATECHIZM SAMOTNEGO TURYSTY.

SZTUKA PODRÓŻOWANIA TANIM KOSZTEM.

Podróże i wycieczki indywidualne nie są w gruncie rzeczy tak kosztowne, jak to ogół ludzi, tęskniących do dalekich podróży, sądzi. Każdy miłośnik turystyki powinien posiadać umiejętność taniego podróżowania, czyli nauczyć się zorganizować w sposób praktyczny i oszczędny swą podróż w jej najdrobniejszych nawet szczegółach, a wtedy przekona się, że wojaże, które uważał dotychczas za dziedzinę pięknych, lecz nieiziszczalnych marzeń, można uczynić rzeczywistością skromnymi środkami finansowymi.

Niezamożny miłośnik turystyki i dalekich podróży znajdzie poniżej najogólniejsze, praktyczne wskazówki i rady, często może niedyskretne, które pouczą go, jak ma zorganizować i realizować swą indywidualną podróż turystyczną, aby starczyło mu na nią pieniędzy.

Przygotowania do drogi. Mając już sprecyzowany cel wycieczki, czy też dalszej podróży turystycznej, należy do niej odpowiednio dostosować nasz ekwipunek podróżny czyli t. z. bagaż ręczny. Wielkość tego ekwipunku powinna być naogół wprost proporcjonalną do odległości tego celu lub do długotrwałości pobytu w miejscu, do którego się udajemy; opuszczając bowiem na dłużej miejsce stałego naszego pobytu, będziemy korzystać w podróży z większej ilości przedmiotów codziennego użytku, aniżeli w wypadku wyjazdu na krótki przeciąg czasu. Z powyższej reguły nie wynika jednak, aby należało objuczać się potężnymi pakunkami w razie wyjazdu do krajów bardzo odległych; inaczej mówiąc, wielkość bagażu ręcznego nie powinna przekraczać granic, określonych przez potrzebę swobody i oszczędności w podróży. Ekwipunek zabierany w drogę można podzielić na trzy kategorie, zależne od celu i długotrwałości podróży.

Ekwipunek pierwszej kategorii, który bierzemy ze sobą na jedno lub kilkuniedniową wycieczkę turystyczną, może być dwojaki: walizkowy lub plecakowy. Pierwszy, w postaci jednej małej walizki, (najlepiej fibrowej, zamykanej na kluczyk) bierzemy o ile nie będziemy przebywać większej odległości pieszo, a drugi, t. j. plecak, zabieramy będąc z góry przygotowani na dalsze marsze.

Zawartość walizki i plecaka może być mniej więcej jednakową i składać się z przedmiotów, dotyczących codziennej wygody i toalety podróżnej, a mianowicie: z płedu, ko-

szuli nocnej, prześcieradła, poduszcзки (najlepiej pneumatycznej), kostjumu kąpielowego (w porze letniej), termosu lub manierki napełnionej pożywnym lub orzeźwiającym napojem, składanego kubka, nożyka, przyboru do szycia, pantofli nocnych, ręcznika, mydła, szczoteczki do zębów, szczotki do obuwia i ubrania i t. p. drobiazgów, używanych przez człowieka kulturalnego. Resztę wolnego miejsca w walizce lub plecaku należy wypełnić prowiantem. czego nigdy nie pożałujemy, gdyż obfitość własnych zapasów w podróży uniezależnia nas od restauracyj i bufetów kolejowych, lub przydrożnych, rujnujących zazwyczaj nieprzezornego turystę.

Ekwipunek drugiej kategorii, zabierany w kilkutygodniową podróż, powinien składać się z walizki i lekkiej walizeczki podróźnej, lub plecaka, przyczem walizkę i walizeczkę zabieramy, gdy nie są przewidywane dłuższe marsze, a walizkę i plecak, gdy podróż obejmuje również wycieczki piesze, np. w okolice podmiejskie lub w góry. — Przedmioty zabierane w tym wypadku w drogę należy podzielić na dwie grupy, a mianowicie: 1) przedmioty podręczne, potrzebne nam co pewien czas w ciągu dnia, jak np. przybory toaletowe, prowiant, plany i przewodniki, lornetkę, aparat fotograficzny i t. p. oraz 2) przedmioty postojowe, użytkowane jedynie w miejscach dłuższych postojów i noclegów, jak np. pled, poduszczkę, strój wieczorowy, przybory do golenia, lampkę spirytusową lub grzejnik elektryczny do grzania wody, imbryczek i kubek, parasol składany lub krótki damski, (który najlepiej jest przytroczyć zewnątrz do plecaka lub walizki) i t. p. Pierwszą grupę tych przedmiotów, czyli przedmioty podręczne, umieszczamy w walizce lub plecaku, a drugą grupę, czyli przedmioty postojowe, wkładamy do większej walizki, którą w razie przybycia do większej miejscowości jedynie na kilka godzin, pozostawiamy na przechowaniu na dworcu kolejowym, a w razie dłuższego pobytu w zwiedzanym mieście, w pokoju hotelowym, zatrzymując przy sobie walizeczkę lub plecak (w wypadku np. wycieczki zamiejskiej.)

Ekwipunek trzeciej kategorii, zabierany w podróż, trwającą wiele miesięcy, może już składać się z dwóch walizek i plecaka lub małej walizeczki podręcznej, z tem zastrzeżeniem jednak, aby obie walizki i walizeczkę podręczną można było wziąć ze sobą, jako bagaż ręczny, do wagonu kolejowego lub kabiny okrętowej. Oddawanie jednego chociażby ze swych pakunków na bagaż jest ostatecznością, której należy wszelkimi siłami unikać, jeżeli się pragnie istotnie podróżować tanio. Podobną ostatecznością jest korzystanie z pomocy tragarzy stacyjnych lub portowych, zasadniczym bowiem warunkiem podróżowania tanim kosztem jest dźwiganie swego bagażu własnymi siłami. Nienaruszalną regułą dotyczącą wielkości bagażu, który możemy wziąć ze sobą, chcąc tanio podróżować, jest warunek, aby nie przerastał on naszych sił fizycznych, czyli abyśmy mogli wnieść go i wynieść do wagonu lub kabiny bez obcej pomocy. Do jednej z dwu walizek wkładamy: odzież odświętną, bieliznę, i przedmioty potrzebne nam jedynie co kilka dni; do drugiej zaś walizki pakujemy wymienione już poprzednio przedmioty postojowe, a do plecaka lub walizeczki — opisane już przedmioty podręczne.

Do żadnego jednak z przytoczonych ekwipunków podróźnych nie należy nigdy dodawać drobnych paczek i paczuszek, które wymagają od nas dziesięciu rąk, wówczas gdy posiadamy tylko dwie. Wszystko bez wyjątku powinno się mieścić w walizce lub plecaku, aby ręce turysty były możliwie jak najswobodniejsze.

Trzeba teraz zastanowić się nad tem, co należy włożyć na siebie, udając się w podróż, należącą do jednej z trzech powyższych kategorii.

Jeżeli wybieramy się na jedno lub kilkuniedniową wycieczkę, to oczywiście wystarczy nam strój podróźny lub wycieczkowy, z dodatkiem dostosowanego do pory roku okrycia zwierzchniego, a w razie dalszych marszów — podkutego nieprzemakalnego obuwia i laski.

Wyjeżdżając zaś w podróż, trwającą kilka tygodni, należy wziąć, oprócz powyższego stroju podróżnego: ubiór wieczorowy lub odświętny, w którym możemy odwiedzać muzea i teatry, parę zmian bielizny oraz dodatkowe nakrycie głowy i lżejszą parę obuwia. W razie wyruszenia w podróż na wiele miesięcy, można zabrać w dodatku do ekwipunku odzieżowego drugiej kategorii więcej cieplejszej odzieży i bielizny. Niezależnie jednak od długotrwałości podróży, należy ubrać się do niej możliwie jak najbardziej „kuso” i zwarcie, aby nie zaczepiać połamami ubrania w tłumie dworców i wagonów kolejowych o klamki drzwiczek i walizki współpodróżnych. Ubranie podróżne winno więc być szczelnie zapięte, bez krępowania jednak ruchów.

Kapelusz z szerokim rondem powinien pozostać w walizce, a głowę można nakryć czapką podróżną lub szczelnie przylegającym kapelusikiem, przyczem należy zauważyć, że w porze letniej mężczyzna najlepiej będzie się czuł, podróżując z odkrytą głową. W kieszeni naszego ubrania powinien być zawsze obecny mały, składany kubeczek, szczególnie potrzebny w ciepłej porze roku, kiedy to tak często trzeba gasić pragnienie wodą, zaczerpniętą z kranów wodociągowych na stacjach i dworcach.

Wśród naszych sfer turystycznych zakorzeniło się uprzedzenie do parasola. — Uprzedzenie to pozbawione jest wszelkiego praktycznego uzasadnienia i należy je raczej uważać za pewien objaw rodzimego snobizmu. — Na podstawie elementarnej praktyki turystycznej można przekonać się niezbicie, że wygodniej i pod każdym względem praktyczniej jest przytroczyć do walizki lub plecaka składany lub krótki (np. damski) parasol, pod którego osłoną możemy w dzień słotne, nawet bez nakrycia głowy, zwiedzać miasta i odbywać dalsze piesze wycieczki w nieprzemakalnym obuwiu, aniżeli prażyć się ciągle w krępującym ruchu, niehigienicznym i nie dającym ochrony od zimna, płaszczu nieprzemakalnym.

Wycieczki jedno i kilkudniowe wypadają najtaniej w licznej towarzystwie; jeżeli jednak chcemy odbyć możliwie jak najmniejszym kosztem dalszą podróż, to powinniśmy sobie dobrać towarzystwo osób, odznaczających się wytrzymałością fizyczną i upodobaniami turystycznymi, zbliżonymi do naszych. Ale jeśli nie zdołamy sobie dobrać takiego towarzystwa, to ruszajmy lepiej w drogę samotnie. Wówczas nie mamy wprowadzić z kim dzielić się otrzymanymi wrażeniami, jak również kosztem pokoju hotelowego, ale nie potrzebujemy dostosowywać się i naginać ustawicznie do upodobań i humoru naszego towarzysza lub towarzyszek, dzięki czemu zwiedzanie miejsc ciekawych i planowanie dalszych etapów podróży odbywa się składowo, kierowane jedną wolą i zależne tylko od naszej wytrzymałości fizycznej i upodobań.

Indywidualne podróże turystyczne posiadają jednak tę ogromną zaletę, iż samotny turysta, będąc zawsze sam jeden wobec obcych miejsc i ludzi, skupia zawsze swą uwagę li tylko na tem otoczeniu, dzięki czemu wchłania maksymalną ilość wrażeń, których to obce otoczenie dostarczyć mu może.

Udając się w dalszą podróż, najpraktyczniej jest ustalić odrazu z góry plan, czyli marszrutę drogi i wykupić w biurze podróży odpowiedni bilet okrężny czyli blankietowy, który uwolni nas od troski ciągłego dokupywania biletów kolejowych, co jest szczególnie kłopotliwe w podróży zagranicą. W razie jakiegokolwiek zmiany lub dygresji od tej marszruty, możemy zawsze dokupić potrzebny nam bilet, zachowując nadal przyjętą trasę zasadniczą podróży.

W drogę! Po zapakowaniu wszystkiego, co ma być wzięte w drogę, i ukończeniu podróżnej toalety, powstaje kwestja dostania się najmniejszym kosztem na dworzec kolejowy lub przystań żeglugi, co jest właśnie wstępnym etapem drogi, dającym przedsmak dalszych trudów podróży. O ile można, to najlepiej pojechać tramwajem, nawet jeśli do

przystanku daleko. Od czegoż jednak zapal podróżniczy, który sprawia, że ciężkie walizy dźwigamy, jak piórko, z mieszkania do tramwaju, a następnie do pociągu lub parowca?!

Co do samej techniki noszenia swych pakunków, to dźwiganie ekwipunku pierwszej i drugiej kategorii nie sprawia żadnej trudności, mając jednak dwie walizki i podręczną walizeczkę lub plecak, i chcąc mieć ręce wolne dla okazywania biletu przy wejściu do pociągu lub na okręt, należy obie walizki spiąć ze sobą za rączki paskiem i przewiesić je przez jedno ramię, a wtedy trzymaną w ręku walizeczkę podręczną można postawić, przy okazaniu biletu, na ziemi.

Po usadowieniu się w wagonie pociągu, trzeba walizki ułożyć na półce, a plecak lub walizeczkę z przedmiotami podręcznymi umieszcza się obok siebie, aby móc w każdej chwili wyjąć z niej mapę, przewodnik, lornetkę, lub cośkolwiek do zjedzenia. W wypadku nocnej jazdy pociągiem, co winno być tylko w wyjątkowych wypadkach, należy bezwarunkowo zdjąć obuwie i włożyć pantofle nocne, wyjęte z podręcznej walizeczki lub plecaka, a to dlatego, aby dać nogom należyty wypoczynek. Najlepiej jest zająć miejsce przy oknie wagonu, ale nie w przedziale, lecz w wagonie ogólnym, aby móc bez przeszkody widzieć krajobrazy, roztaczające się po jednej i drugiej stronie toru kolejowego. Jeżeli siedzenie tyłem do kierunku ruchu pociągu nie sprawia nam specjalnej przykrości, to siadamy w ten sposób właśnie, gdyż wtedy, w razie otwarcia okna, pęd powietrza, kurz i sadze parowozowe nie uderzają w naszą twarz, wychylającą się ku widzianym w przelocie krajobrazom. Chcąc podróżować tanio, musimy się raz na zawsze przyzwyczaić do wygod, które daje wagon trzeciej klasy. Ba, gdyby we wszystkich pociągach była klasa czwarta, jeździlibyśmy czwartą, byleby tylko pieniędzy starczyło na jak najdalszą podróż! Podróżując dla przyjemności, nie należy korzystać z pociągów nocnych, a możliwie jak najrzadziej z pośpiesznych. Spędzając noc w wagonie, zaoszczędzamy wprawdzie na kosztach hotelowych, ale tracimy więcej, bo spędzamy noc na wyczerpującej dobry humor i siły bezsenności oraz nie widzimy z okien wagonu krajobrazów. Są wprawdzie turyści, którzy wolą podczas dziennej podróży koleją przez czarujące niekiedy miejscowości tonąć po uszy w lekturze czasopism i lekko strawnej literatury, albo też prowadzić gorące dysputy na tematy polityczne lub sercowe ze współpodróżnymi, lecz prawdziwy turysta wypełnia sobie bardziej przyjemnie i pożytecznie godziny przymusowej bezczynności w wagonie uważną obserwacją zmieniającego się bez przerwy krajobrazu. Podróż zwykłym pociągiem osobowym na duże odległości, chociaż bardziej męcząca, jest jednak bez porównania bardziej interesująca, z punktu widzenia turystycznego, gdyż umożliwia dokładniejsze przyjrzenie się krajobrazowi i mieszkańcom kraju, w którym się podróżuje. W razie podróży morskiej lub rzecznej składamy walizki w wyznaczonej nam kabinie, a że statek nie odbija jeszcze czas pewien od przystani, więc, nie tracąc czasu, zwiedzamy po kolei urządzenia naszego parowca, nie pomijając sali maszyn i kotłowni. Odbijanie od brzegu jest chwilą bardzo ciekawą, wobec czego powinniśmy bez względu na pogodę spędzić ją na pokładzie. Stopniowe oddalanie się przystani oraz całego portu i miasta, widok publiczności, żegnającej statek, oraz naszych współpodróżnych tworzą razem widowisko złożone, ciekawe i pouczające. Podróż morska i rzeczna o tyle jest przyjemną, o ile spędzamy ją na pokładzie statku. Przebywanie w kabinie lub w salach ogólnych należy uważać za zło konieczne, spowodowane potrzebą spoczynku nocnego, posiłku, lub schronienia się przed niepogodą lub chłodem.

Wycieczka turystyczna jedno lub kilkodniowa w kraju. Po przygotowaniu ekwipunku pierwszej kategorii, w postaci walizeczki lub plecaka, zawierającego wymienione już przedmioty podręczne, należy włożyć na siebie ubranie podróżne, odpowiadające celowi wycieczki. Do cięższego obuwia, używanego do wycieczek pieszych, trzeba nosić

wełniane pończochy lub także skarpetki, albo wełniane onucze, które, w czasie użytkowania ich, pęcznieją, zapobiegając odparzeniu stóp lub powstaniu odcisków. Odwiedzanie restauracji lub bufetów przydrożnych może być tylko usprawiedliwione potrzebą rozgrzania się gorącym napojem, lub zjedzenia normalnego obiadu, lecz nigdy spożywaniem drobnych zakąsek, które powinny się mieścić w naszym plecaku. Nocleg w prowincjonalnym zajeździe lub w trzeciorzędnym hoteliku, (a na taki tylko możemy sobie pozwolić) nie należy do przyjemnych i jest z punktu widzenia turystycznego gorszy od noclegu w stodole, lub pod odkrytym niebem, można go jednak polepszyć, usuwając z łóżka podejrzaną pościel hotelową i kładąc na jej miejsce mniejszą, lecz pewniejszą, pościel własną w postaci poduszcзки, prześcieradła i pledu, wyjętych z walizki lub plecaka. Mając zaś własne przybory toaletowe i ręcznik, można się obyć bez korzystania z hotelowych.

W czasie upałów letnich nocleg w stodole, a nawet pod gołym niebem jest dla wielu jedną z najmilszych właściwości turystycznej włóczęgi, pod warunkiem jednak, aby w plecaku nie brak było ciepłego pledu, prześcieradła i poduszcзки. Taniość a raczej bezpłatność noclegów tego rodzaju zjednywa im również wielu zwolenników. W razie zdecydowania się na nocleg w tak zwanym hotelu „Pod piękną gwiazdą”, trzeba wyszukać miejsce lekko pochyłe, możliwie wzniesione, suche i osłonięte np. krzakami. Po znalezieniu i zbadaniu takiego miejsca, badamy najbliższe sąsiedztwo pod względem bezpieczeństwa, a następnie zdejmujemy obuwie i ciaśniejsze części garderoby, a na ich miejsce wkładamy wszystko to, co mamy ciepłego i luźnego w plecaku, poczem owijamy się szczelnie pledem, aby uchronić się od ukąszenia przez komary lub mieszkańców trawy, na której obraliśmy sobie legowisko. Pod głowę wsuwamy sobie poduszczkę wspartą na zdjętym obuwiu lub plecaku, w pobliżu prawej ręki kładziemy na wszelki przypadek łaskę, a zdjętą garderobą okrywamy się dodatkowo, co nigdy nie zawadzi wobec chłodnych zawsze świtów. Sen pod odkrytym niebem nie może być oczywiście zupełnie spokojny, ma jednak swój powab, a zwłaszcza, gdy z obranego legowiska rozpościera się piękny widok np. na morze lub góry. Osoby nerwowe, a zwłaszcza kobiety, niech raczej unikają hotelu „Pod piękną gwiazdą” oraz korzystają z jego gratisowych i przewspianiałych apartamentów jedynie tylko wtedy, gdy nocleg pod dachem jest niedostępny.

Podróż wielotygodniowa w kraju i zagranicą. Bierzymy ekwipunek drugiej kategorii, opisany już poprzednio, składający się z dwóch pakunków, t. j. walizki i walizeczki lub, gdy przewidywane są wycieczki piesze, walizki lub plecaka, przyczem oprócz stroju podróżnego lub turystycznego, który mamy na sobie, wkładamy do walizki ubiór świąteczny. Podróż trwająca kilka tygodni ma zazwyczaj na celu zwiedzenie całego szeregu miast i miejscowości w kraju lub zagranicą: udając się więc w taką podróż, trzeba być z góry przygotowanym na wiele nieprzewidzianych przygód i perypetyj podróżniczych, niezawsze przyjemnych. Ponieważ podróż kolejną odbywać winniśmy jedynie tylko w porze dziennej, więc najczęściej zajeżdżać będziemy do interesujących nas miast lub miejscowości wieczorem. Nie jest to oczywiście dogodne, gdyż utrudnia zorientowanie się w nieznanym miejscu i zmusza do natychmiastowego wyszukania noclegu. Trudności te są jednak drobiazgiem w porównaniu ze wskazanymi już korzyściami, wynikającymi z tego systemu podróżowania kolejną.

Po wyjściu z wagonu, oddajemy większą walizkę na przechowanie, a z walizką podręczną, którą możemy przewiesić na pasku przez ramię, lub z plecakiem, staramy się kupić plan danego miasta i wyszukujemy na nim punkt (dworzec), w którym się znajdujemy. Po tem zorientowaniu się w sytuacji, wyruszamy śmiało w głąb miasta na wyszukiwanie taniego hotelu. Już w bezpośrednim sąsiedztwie dworca dostrzegamy liczne, a cza-

sami imponujące napisy świetlne, głoszące nazwy pierwszorzędných hotelów. Nie traćmy jednak czasu na zaglądanie do nich: byłaby to fatyga bezużyteczna: hotele te są dla nas za drogie. Oddalmy się natomiast nieco, krocząc po pryncypalnej ulicy od dworca kolejowego, a następnie zapiśmy w jedną z bocznych uliczek w głąb miasta. Możemy teraz dopiero zapytać się tego lub owego, pocziwie wyglądającego przechodnia, o tani hotelik. Nie trzeba jednak nigdy tracić cierpliwości, gdy przez pierwsze pół godziny tej wędrówki przez obce miasto nie znajdujemy upragnionego, taniego pokoju. Nie jest to czas stracony, gdyż poszukiwania te są jednoczesnem zwiedzaniem miasta w jego szacie wieczornej. Gdy, zmęczeni tem krążeniem po mieście i dźwiganiem walizeczki podręcznej lub plecaka, zwątpimy w możliwość znalezienia taniego noclegu, to wtedy wstąpmy do pierwszej napotkanej jadalni na kolację; a gdy po posileniu się i odpoczęciu z niej wyjdziemy ponownie na mroczną ulicę i przystąpimy, w lepszym już humorze, do ponownych poszukiwań, to przekonamy się, że potrzebny nam hotelik nie jest znów tak trudno znaleźć, lub, że jest tuż obok stołówki, w której posilaliśmy się przed chwilą... W żadnym jednak wypadku nie należy korzystać z płatnych, ogólnych domów noclegowych, gdzie nie może być mowy o dobrem przespaniu się i znośnych warunkach higienicznych. Lepiej jest odmówić sobie obiadu, aby za tę cenę spać w oddzielnym i czystym pokoiku hotelowym, gdyż dobre przespanie nocy jest niezbędnym warunkiem podróży dla przyjemności.

Nawet w wypadku późnego ułożenia się na spoczynek, trzeba wstać wcześniej, aby zyskać na czasie w zwiedzaniu miasta. Najtańsze śniadanie można z reguły zjeść w robotniczej części miasta, albo w sąsiedztwie rynku lub hal targowych. Śniadanie to będzie jeszcze tańsze, gdy użyjemy doń kupione uprzednio pieczywo. W ostateczności można zadowolnić się butelką mleka i chlebem spożytym we własnym pokoiku hotelowym. Po tym pierwszym posiłku rozpoczynamy zwiedzanie miasta. Najlepiej jest zwiedzać według planu i przewodnika, bo ciągle wypytywanie się ludzi miejscowych wytwarza w głowie zamęt sprzecznych i niedokładnych informacji. W razie gorącego dnia nie zapomnijmy przed wyjściem z hotelu włożyć do kieszeni składanego kubeczka, który umożliwia bezpłatne gaszenie pragnienia wodą, zaczerpniętą z wodociągów, źródełek ulicznych lub parkowych. W dzień zwiedzamy pryncypalne ulice, place, oraz gmachy i parki publiczne, a wieczorem posilamy się i odwiedzamy teatry. Zwiedzanie muzeów, wystaw, i ogrodów miejskich jest na drugim planie z wyjątkiem jednak muzeów, charakteryzujących ściśle dane miasto lub kraj. Z komunikacji miejskich korzystamy tylko w wyjątkowych wypadkach, gdyż każdy przejazd autobusem, tramwajem, czy też koleją podziemną jest z punktu widzenia turysty lekkomyślną stratą wielu okazji do poznania ciekawych szczegółów z życia i wyglądu ulic danego miasta. Jeżeli miasto jest położone nad rzeką, jeziorem lub morzem, to udajemy się najpierw na wybrzeże, gdyż stamtąd można najlepiej ogarnąć, jako całość, to wielkie zbiorowisko domów. Jeżeli miasto posiada w swem łonie większe wzniesienia, to oczywiście wspinamy się w tymże celu na ich szczyt. Po tem zdaniu sobie sprawy z całości miasta, przemierzamy jego główne ulice i place.

Obiad powinien być jednocześnie chwilą odpoczynku dla nóg, wobec czego zjadamy go wtedy, gdy czujemy już większe zmęczenie, a więc w porze wieczornej lub przedwieczornej. Po obiedzie zabiegamy koło wcześniejszego kupienia sobie biletu do teatru, lub udajemy się bezpośrednio do naszego hoteliku, aby umyć się i ewentualnie zmienić strój podróżny na świąteczny, wyjęty z walizki odebranej uprzednio z przechowalni na dworcu. W razie jedno — lub dwudniowego pobytu w zwiedzanem mieście nie opłaca się, a zwłaszcza gdy hotelik nasz jest daleko od dworca, odbierać większą walizkę z przechowalni: możemy wtedy iść do teatru w stroju podróżnym, co nie będzie

nas krępować, gdyż z reguły udajemy się na jedno z najtańszych miejsc, gdzie strój wieczorowy nie jest wymagany. Jeżeli jednak zatrzymujemy się na dłużej, np. na kilka dni, to wtedy trzeba walizkę przynieść z przechowalni do hotelu, aby uniknąć kosztów jej przechowywania i móc korzystać z rzeczy, zawartych w tej walizce, czyniących pobyt w hotelu wygodniejszym, a utrzymanie tańszem. Z tego ostatniego względu nasza większa walizka powinna jak już było powiedziane, zawierać grzejnik spirytusowy lub elektryczny i odpowiednie naczynie do grzania wody, co umożliwia jadać śniadań i kolacyj minimalnym kosztem u siebie. Dopiero po zwiedzeniu ulic, placów, wybrzeży i gmachów publicznych, udajemy się do parków, ogrodów, muzeów i ukrytych we wnętrzach domów osobliwości miasta. Mniejsza lub większa dokładność zwiedzenia danego miasta zależy od tego, ile mamy na to czasu. Mając bardzo niewiele czasu, lepiej jest w każdym razie zwiedzić miasto jedynie tylko pod względem jego położenia i wyglądu zewnętrznego, aniżeli poświęcić ten czas na szczegółowe obejrzenie jednego muzeum, kościoła lub parku, które nie mogą same dać pojęcia o fizjognomji całego miasta. Na ostatnim planie są wycieczki dla obejrzenia ciekawych miejsc, położonych za miastem. Przedmioty pamiątkowe najlepiej jest nabywać w ostatnim dniu pobytu, gdyż wtedy wiemy już, gdzie i jakie przedmioty pamiątkowe są do nabycia i które z nich są najtańsze. Nie będziemy wtedy biadać, żeśmy kupili nie tamten, lecz ten przedmiot i zapłacili drożej, aniżeli można było kupić gdzieindziej. W przeddzień wyjazdu w dalszą drogę udajemy się na dworzec kolejowy, aby poinformować się o godzinach odejścia rannych pociągów i kupić za wczasu bilet (jeżeli nie mamy okrężnego biletu blankietowego). Z pośród rannych pociągów wybieramy możliwie najwcześniejszy, aby przybyć jeszcze za dnia do następnego miejsca postoju. Dowiadujemy się również, którym tramwajem można przyjechać z naszego hoteliku (gdy jest daleko) na dworzec. Należy potem kupić trochę pieczywa na jutrzejsze śniadanie i lekkiego jadała na drogę, nie zapominając napełnić termos lub manierkę herbatą lub innym napojem. Rachunek hotelowy najlepiej uregulować wieczorem i prosić, jeżeli się nie liczy na samego siebie, o obudzenie o właściwej godzinie, z uwzględnieniem czasu potrzebnego na spożycie śniadania u siebie i przebycie drogi na dworzec. Rzeczy powinny być jeszcze wieczorem spakowane z gruba, aby rano tylko je uzupełnić. Dźwiganie własnych pakunków na dworzec jest bardzo zdrową gimnastyką poranną, a przytem mało krępującą, wobec wczesnego ranka, jeżeli oczywiście dworzec nie jest zbyt odległy. Po usadowieniu się w wagonie wyciągamy z walizeczki podręcznej lub plecaka mapy i przewodniki, aby śledzić drogę, którą będziemy przebywać.

Wielomiesięczna podróż do obcych krajów. Przygotowujemy ekwipunek trzeciej kategorii, składający się z dwóch walizek i podręcznej walizeczki lub plecaka, wkładając w te pakunki przedmioty opisane poprzednio. Moglibyśmy oczywiście ilość tych pakunków zmniejszyć, dokupując sobie, podczas tej długotrwałej podróży przedmioty, niezbędne podczas dłuższych postojów. Wychodząc jednak z założenia, że podróż musi być jak najtańsza, lepiej jest wziąć odzież i przedmioty podręczne ze swych zapasów domowych, gdyż w podróży wszystko niszczy się szybciej, a więc lepiej jest donosić to, co już zostało w pewnym stopniu zużyte w domu, aniżeli kupować i używać w podróży rzeczy nowe. Powracając zaś z długiej podróży, możemy po drodze kupić, w razie posiadania pewnej pozostałości gotówkowej, na miejsce przedmiotów doniesionych w podróży do końca — rzeczy nowe. Wobec długotrwałości podróży, należy zabrać ze sobą zeszyt do notowań wrażeń, których będziemy mieli tak dużo, iż często silniejsze wrażenia i przeżycia mogą eliminować z pamięci wrażenia mniej efektowne, lecz cenne. Ważniejsze wydarzenia i obserwacje dnia notujemy w tym zeszycie przed udaniem się na spoczynek. Przydadzą się wszelkie mapy, przewodniki i słowniki, dotyczące krajów, do których się

udajemy, gdyż ułatwiają one orientację i porozumiewanie się w tych krajach. Przedmioty te rozmieszczamy w walizkach w sposób już wskazany. Udając się w daleką podróż turystyczną, można liczyć tylko na posiadane już zasoby pieniężne, gdyż o zarobku w podróży nie może być mowy wobec szerzącego się na całym świecie bezrobocia, tembardziej iż obecnie wszędzie uważają turystę za człowieka, obowiązane go do wydawania możliwie jak największej ilości pieniędzy. Podróżujący cudzoziemiec, który ogranicza do minimum kosztu swej podróży, wydaje się obywatelom wielu krajów zachodnio-europejskich człowiekiem podejrzanym, prawie przestępcą!... Nie trzeba jednak tego brać do serca, gdyż w obecnych czasach każde państwo chce zarabiać na turystyce i to jak najlepiej.

Po wjeździe na obce terytorjum, do wagonu zaczynają wchodzić przedstawiciele miejscowej ludności. Współpodróżni ci są zazwyczaj rozmówni i będą nas nagabywać w swym języku o to i owo. Jeżeli jednak nie mówimy dobrze ich językiem, lepiej zrobimy odpowiadając gestami, iż nie rozumiemy ich pytań, a wówczas dadzą nam spokój i będziemy mogli bez przeszkody przyglądać się nowym dla nas krajobrazom i ludziom. Jeżeli jednak wdamy się niebacznie z nimi „z kiepska po węgiersku” w rozmowę, to wówczas ci autochtoni, widząc przed sobą (cudzoziemca), będą nas zamęczać pytaniami i badaniami na temat: jakiej jesteśmy narodowości, gdzie i pociąg jedziemy, jak nam się podoba ich kraj i t. d. Prawdziwość przysłowia, że „Milczenie jest złotem” potwierdza się w całej rozciągłości w czasie podróży. Jeżeli zaś władamy doskonale językiem kraju, do którego przybyliśmy, to zbywamy zapytania odpowiedzią krótką i węzłowatą, dając do zrozumienia, że nie mamy wcale ochoty do rozmowy, albo udajemy śpiących. Podczas przejazdu pociągu przez tunele odsuwamy się trochę od okna, aby uniknąć mokrych sadzy parowozowych, gdy linia nie jest zelektryfikowana.

Po przyjeździe do miasta, w którym mamy się zatrzymać dłużej, np. parę tygodni, postępujemy zasadniczo tak samo, jak było wskazane powyżej, z tą różnicą jednak, że zamiast pokoju hotelowego, szukamy pokoju prywatnego, który kosztuje znacznie taniej, oraz zwiedzamy miasto w powolniejszym tempie. Poszukujemy takiego locum w uboższej dzielnicy miasta, gdzie można również taniej się wyżywić. Ponieważ pokój w pensjonacie jest bardzo drogi, więc wynajmujemy pokój bez utrzymania, co najwyżej z dodatkiem gotowanej wody (rano i wieczorem). Ponieważ prawie we wszystkich wielkich miastach Europy i Ameryki są liczne kolonie polskie, więc powinniśmy przedewszystkiem udać się do miejscowego „Domu” lub „Ogniska” polskiego w celu zasięgnięcia informacji o mieście i warunkach egzystencji w jego murach. Informacje te ułatwiają nam zapoznanie się z miastem i krajem, w którym gościmy, jak również mogą pomóc w wyszukaniu taniego mieszkania i wyżywienia. (W niektórych krajach działają organizacje dobroczynne, jak np. „Armja Zbawienia”, utrzymujące tanie hotele misyjne dla niezamożnych podróżnych. Organizacje te posiadają niekiedy swoje ekspozytury na dworcach kolejowych, a wtedy udajemy się oczywiście wprost do nich po potrzebny nam pokój).

Po dokładnem zwiedzeniu miasta i wszystkich jego osobliwości, należy odbyć kilka całodziennych, pieszych lub częściowo pieszych, wycieczek zamiejskich, a zwłaszcza do miejsc, polecanych w przewodniku. Wyruszamy na taką wycieczkę zamiejską wczesnym rankiem, a w porze letniej bez płaszcza i z odkrytą głową, unikając dzięki temu pocenia się w czasie marszu, biorąc na drogę trochę jedzenia i kubeczek do wody. Plecak lepiej unikać podczas jednodniowych wycieczek podmiejskich, gdyż zwraca on uwagę przechodniów, którzy widząc objuczonego plecakiem przechodnia, będą go niepokoić swą ciekawością. Jeżeli bawimy w milionowym mieście, to po wyjściu z mieszkania, siadamy do pociągu kolei podziemnej lub tramwaju i dojeżdżamy do jego krańców, skąd maszerujemy już pieszo do celu wycieczki. Długość takiego marszu zależy oczywiście

od wytrzymałości nóg turysty, jeżeli więc cel wycieczki znajduje się w odległości znacznie przekraczającej naszą „normę” dzienną, to wtedy należy odległość tę skrócić, podjeżdżając odpowiednio ku celowi wycieczki tramwajem lub autobusem podmiejskim. Trzeba również wziąć pod uwagę czas potrzebny na zwiedzenie miejscowości, do której się udajemy, oraz ewentualnie na zwiedzenie ciekawych miejsc, znajdujących się po drodze. Ponieważ drogi podmiejskie miast zachodnio-europejskich uwzględniają tylko ruch samochodowy, nie licząc się z potrzebami piechura, więc kroczenie po tych pięknie wyasfaltowanych szosach nastrocza pewne trudności, gdyż nie mając po obu bokach jezdni ścieżek ani chodników, zmuszeni jesteśmy iść brzegiem jezdni, co przy dużym ruchu samochodowym jest niebezpieczne. Aby uniknąć przejechania, trzeba z reguły iść lewym brzeżkiem szosy, gdyż wtedy samochody, pędzące po tej stronie drogi, znajdują się przed nami, a widząc je, możemy się im z drogi zawczasu usunąć i unikamy najechania na nas z tyłu. Gdzie tylko znajdziemy ślad chodnika lub ścieżki, korzystamy z nich skwapliwie, gdyż samochód to wróg piechura, godzący na jego całość i zatruwający mu czyste wiejskie powietrze. Piesza wycieczka zamiejska ma swój urok swoisty i umożliwia dokładne przyjrzenie się przebywanym okolicom, gdyż przemierzając krokami pewną miejscowość, zapoznajemy się ze wszystkimi szczegółami jej krajobrazu i życiem jej mieszkańców, gdy tymczasem, przejeżdżając szybko przez te miejscowości tramwajem lub samochodem, oddzieleni jesteśmy pudłem naszego wehikułu od wszystkich szczegółów krajobrazu tej miejscowości, czyli tracimy bezpowrotnie masę cennych wrażeń turystycznych. Zresztą samo zdobywanie odległości własnymi nogami jest źródłem pierwszorzędnej przyjemności sportowej, oraz zdrowia i apetytu. Aby nie zmylić drogi, śledzimy swój marsz na mapie i pilnujemy się licznych drogowskazów, (pomimo, że są ustawiane nie dla nas, lecz dla szoferów samochodowych), ustawionych zazwyczaj na każdym skrzyżowaniu dróg. Zapytywanie ludzi o drogę powinno być tylko ostatecznością, do której uciekamy się, gdy zarówno mapa, jak i drogowskazy nie dają nam pewności, iż podążamy w należyтым kierunku. Zdarza się bowiem często, iż nagabywani o drogę przechodnie informują fałszywie lub nieścisłe, nie przez złą wolę, lecz skutek nieporozumienia lub niekompetencji. Jeżeli w czasie tej wędrówki złapie nas krótkotrwała ulewa, to możemy ją przeczekać gdziekolwiek, pod przydrożnym gankiem, gdy jednak zacznie padać przewlekły deszcz, to nie tracąc czasu otwieramy nasz krótki, lecz rozłożysty parasol i kroczymy dalej, jak przy pięknej pogodzie, ufni w nieprzemakalność naszego podkutego obuwia, wysmarowanego tranem.

Zwiedzanie powinno być zawsze metodyczne i według kolejności wskazanej w przewodniku, z pominięciem jednak, w razie ograniczonego czasu, osobliwości drugorzędnych. Najsilniejsze i najtrwalsze wrażenia pozostawiają w pamięci turysty widoki ogólne historycznych budowli, ruin czy też miast; wobec czego widoki te powinny mieć pierwszeństwo, a potem dopiero można się zająć oglądaniem szczegółów architektonicznych lub wnętrza. Gdy się posiada dobry przewodnik książkowy, to wszelcy płatni przewodnicy są zbędni, nie trzeba więc nigdy żałować pieniędzy na kupno map i przewodników. Gdy miejscowość, którą pragniemy zwiedzić w ciągu jednego dnia, znajduje się zbyt daleko od miasta, w którym przebywamy, (np. w odległości 50—100 km.), to wówczas udajemy się do niej wczesnym pociągiem, biorąc w miarę możliwości bilet powrotny i taki sam ekwipunek, jak przy zwykłej wycieczce pieszej. Po przybyciu na miejsce, mamy wtedy wbród czasu na piesze zwiedzanie miejscowości i jej okolic. Powracamy, jak zwykle, pociągiem wieczornym.

Podczas dni słotnych zwiedzamy muzea a wieczory spędzamy w teatrze, gdzie możemy bywać bardzo często, jeżeli zaopatrzymy się zawsze w bilet na najtańsze

miejsca. Najtańsze bilety wejścia do teatrów w niektórych krajach są sprzedawane dopiero na pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia, a że są często nienumerowane, więc trzeba przyjść do teatru jak najwcześniej, aby otrzymać najlepsze miejsce.

Gdy turysta pragnie kupić cośkolwiek, to wkracza do odpowiedniego sklepu tylko wtedy, gdy na jego wystawie widnieje cena potrzebnego mu przedmiotu, gdyż najczęściej się zdarza, że uprzejmy kupiec, stwierdzając po wymowie, iż ma przed sobą cudzoziemca, nie omieszka, w wypadku nieujawnienia ceny żądanego przedmiotu, podwyższyć ją odpowiednio.

W razie wyjazdu do zamorskiego kraju, niezamożny turysta nabywa kartę okrętową trzeciej klasy, która daje zresztą na nowoczesnych parowcach wszelkie wygody. Zabieranie prowiantu w dłuższą podróż morską jest zbyteczne, ponieważ jedzenie opłaca się wraz z przejazdem. W kabinach jest zazwyczaj duszno, więc można, jeżeli niema specjalnego zakazu, spędzać ciepłe noce letnie na pokładzie z użyciem poduszki i pledu.

Wędrując w sposób powyższy z miasta do miasta danego kraju lub kontynentu, samotny niezamożny turysta zapoznaje się z ich wyglądem zewnętrznym, charakterem, ludnością, językiem i kulturą, gromadząc ciekawy i kształcący materiał porównawczy, pogłębiający wiedzę, zwiększający w szybkim tempie doświadczenie życiowe, samodzielność i zdolność do zwycięskiej walki o byt wśród obcych. Tych dwóch ostatnich bezcennych korzyści z podróży pozbawiony jest zupełnie zamożny turysta, otoczony ciągle wygodami i komfortem, który zaślania mu realny obraz zwiedzanego kraju lub przedstawia go w fałszywym oświeceniu, dając mu błędne lub nieściśle pojęcie o jego życiu i wyglądzie. Turysta, podróżujący luksusowymi pociągami, zapoznaje się zwykle najlepiej w czasie jazdy z przysmakami restauracyjnego wagonu, z boazerją sleeping'u, w którym spędza nie tylko noce, lecz i dni, oraz z kosmopolitycznym światem współpodróżnych. Tą samą atmosferę znajduje zamożny turysta w hotelu, w mieście lub miejscowości, którą przybył zwiedzić, gdzie wszędzie zresztą „dostarczają” go szybko, jak jakiś towar, do miejsc ciekawych autokarami, nie dając czasu na spokojne rozejrzenie się wokoło siebie, przyczem podczas oglądania tych osobliwości krzykliwi przewodnicy zawodowi oszałamiają do reszty ogłupiałych ciągłą jazdą samochodową turystów stekiem recytowanych szybko, stereotypowych informacji i przepędzają szybko swych klientów z miejsca na miejsce, jak stado (owiec, baranów). Zasobny w pieniądze turysta może oczywiście zwiedzić szybciej wszystkie osobliwości miasta, lecz dokładniej, spokojniej i w realniejszym oświeceniu pozna je turysta niezamożny i samotny, zwiedzający wszystko indywidualnie, bez zbytecznego pośpiechu, a dzięki temu z większą przyjemnością i większym pożytkiem. Ponieważ zaś samotny turysta, zwiedzając dane miasto, udaje się wszędzie pieszo, wynajdując własnymi siłami drogę, więc poznaje miasto i jego życie lepiej, wszechstronniej i bardziej bezpośrednio we wszelkich jego szczegółach, aniżeli turysta zamożny lub należący do wycieczki zbiorowej.

ADAM BARTKOWSKI.

KLIMONTÓW SANDOMIERSKI I JEGO OKOLICE.

Założony przez wojewodę Jana Zbigniewa Ossolińskiego, według aktu erekcyjnego z roku 1604, na zniżającym się falisto ku południowi zboczach wyżyny Świętokrzysko-Sandomierskiej, przy rzece Pokrzywiance, w odległości 7 kilometrów od położonego przy szosie Opatów — Sandomierz Kurowa, niegdyś miasto, przemianowane w roku 1870 na

osadę, Klimontów posiada dwie okazałe świątynie, które od strony Konar i Górek przedstawiają się majestatycznie i nadają mu wygląd większego miasta.

Jedną z tych świątyń jest kościół poddominikański, w stylu renesansowym, wzniesiony na znacznym wzgórzu północno-zachodnim w miejscowości, zwanej Rajmundowice przez założyciela miasta, Ossolińskiego, w roku 1620 i wraz z zabudowaniami klasztornymi oddany w posiadanie sprowadzonym tu przez niego wcześniej, bo już w roku 1613, OO. Dominikanom. W prezbiterjum zawieszony jest portret fundatora, a w podziemiach kościoła spoczywają jego zwłoki i zdaje się, jego żony, oraz dwojga małoletnich dzieci. Wojewoda na utrzymanie kościoła i Konwentu OO. Dominikanów przeznaczył i podarował wsie: Olbierzowice, Beradz, Kozinek, Korzeniec i Płaczkowice. Dobra te po kasacji klasztorów w roku 1864 przeszły w posiadanie włościan, klasztor jednak w Klimontowie skasowany nie był i pozostał nadal klasztorem etatowym dla 14 zakonników, na których utrzymanie rząd asygnował po 120 rb. rocznie na osobę, pozostawiwszy im prócz tego około 18 morgów gruntu z ogrodem przy zabudowaniach klasztornych.

Od czasu powstania Konwentu Klimontowskiego w 1613 do ostatecznego skasowania klasztoru w roku 1902, zarządzało klasztorem 90 przeorów. Ostatnim przeorem, a w końcu i ostatnim zakonnikiem, był O. Korneliusz Mikusiński, sympatyczny staruszek, typ zawsze pogodnego, rubaszno-jowialnego zakonnika.

Z chwilą śmierci O. Korneliusza Mikusińskiego, który zmarł w 1901 r., klasztor jako zgromadzenie zakonne, istnieć przestał. Etat klasztoru zniesiono w roku 1902. Kościół, jako filjalny, ówczesne władze oddały na użytek parafjan, przeznaczając część wschodnią gmachu poklasztornego dla księdza świeckiego i służby kościelnej; zachodnią część tegoż gmachu oddana została w posiadanie gminy Klimontów. W tej części gmachu w roku 1905, w czasie, tak zwanym, wolnościowym, kosztem ogółu mieszkańców, odrestaurowane były sale dla pomieszczenia szkoły miejscowego Koła Macierzy Szkolnej, wkrótce jednak Macierz została przez zaborców rozwiązana, a szkoła i założona przy niej biblioteka Macierzy — zamknięte. Obecnie w tej połowie gmachu poklasztornego, po odpowiednim odrestaurowaniu częściowo kosztem mieszkańców, a ostatecznie już kosztem Min. W. R. i O. P. ulokowano szkoły powszechne, oddając część na mieszkania nauczycieli tychże szkół.

Po prawej stronie drogi, wiodącej do klasztoru, w niewielkiej odległości od wejścia na cmentarz kościelny wznosi się piękna, wysoka kolumna ze statua na szczycie Matki Boskiej, przeniesiona tu podobno z Ossolina przed zburzeniem, czy też po zburzeniu, w roku 1806, zamku ossolińskiego, przez ówczesnego właściciela tych dóbr, Antoniego hr. Ledóchowskiego.

Drugi kościół, farny, obecnie parafjalny, który miał być miniaturą bazyliki Ś-go Piotra w Rzymie, fundował w roku 1643 głośny w historii Kanclerz Wielki Koronny, Jerzy Ossoliński.

Okazała rotunda, zakończona kopułą, ma wygląd, szczególnie od strony południa i północy, ciężki i przysadzisty. Szczyty dachów nad krużgankami, okalającymi rotundę od południa i północy, oparte są na parapetach okien rotundy, co jest rażącym błędem. Konstruktor dachów uczynił to zapewne przez wzgląd, by dachy nie były zbyt płaskie. Mam na myśli konstruktora dachów późniejszego, dach bowiem pierwotny spalony został w czasie najazdu szwedzkiego. Szczyty powyższych dachów winny być oparte na gzym-sie, okalającym rotundę zzewnątrz, poniżej okien, w tym prawdopodobnie celu przez budowniczego przy wznoszeniu murów świątyni urządzonym, a znajdującym się obecnie pod dachem krużganków. W razie takiej rekonstrukcji dachów wysokość rotundy powiększyłaby się, a jej ciężkość i przysadzistość zniknęłyby.



Kyc. 166. Kościół parafialny w Klimontowie. Po prawej stronie pomnik ku uczczeniu powstańców 1863 roku.

Fundator pochowany jest w podziemiach kościoła, pod wielkim ołtarzem, a w nawie głównego kościoła, w pobliżu ambony, znajduje się jego portret, dobrego pędzla.

Portret przedstawia Kanclerza w wieku młodszym i prawdopodobnie jest dziełem włoskiego malarza z tego okresu, kiedy Jerzy Ossoliński, jako poseł króla Władysława IV do Papieża Urbana VIII, urządził ów sławny wjazd do Rzymu. Widzimy na obrazie dumnego magnata, mężczyznę dobrej budowy i tuszy, urody niezwyklej, o wyrazie twarzy inteligentnym. Portrety Ossolińskiego, według Falcka, reprodukowane w różnych wydawnictwach, a między innymi w monografii Artura Śliwińskiego „Król Władysław IV” przedstawiają Kanclerza w wieku późniejszym i niewiele mają podobieństwa do znajdującego się tu portretu, którego reprodukcji nie spotykałem.

Na placu przed wejściem na cmentarz kościelny widnieje skromny pomnik, wzniesiony kosztem dobrowolnych ofiar, ku uczczeniu pamięci powstańców, poległych i zmarłych z ran w bitwie pod Rybnicą w dniu 20 Października 1863 r., a pochowanych w liczbie 49 na cmentarzu w Klimontowie. Pomnik stanął na tym miejscu, na którym w czasie manifestacji narodowych, poprzedzających wybuch powstania, postawiony był krzyż drewniany, dziś już nie istniejący.

Własność miasteczka stanowił dom, w którym od czasów niepamiętnych mieściła się szkoła elementarna. Dom ten na mocy uchwały miejskiej z roku 1895, przeszedł na własność gminy, a szkoła została przemianowana na szkołę początkową gminną. W tym domu, na którym w roku 1929 kosztem gminy nadbudowano piętro, mieści się obecnie, jak i poprzednio, jedna z sal szkół powszechnych, oraz mieszkania dla nauczycieli.

Jest tu i tak zwany „Szpital”, a właściwie „Dom schronienia dla ubogich”, zapoczątkowany przez dawnych dziedziców, może nawet przez Jerzego Ossolińskiego. Dom, na cel powyższy zbudowany w roku 1792, przez Ludwikę z Denhofów Ledóchowską,



Ryc. 167.

Kościół poddominikański w Klimontowie.

dziś nie istnieje, a obecny skromny budynek wzniesiony został w roku 1892, w pewnym od poprzedniego oddaleniu.

W osadzie mieszczą się: Sąd Grodzki, Urząd gminny, Urząd pocztowo-telegraficzny i Bank powszechny. Jest apteka i dwu ordynujących lekarzy.

Z gmachów prywatnych wyróżniają się: dom Towarzystwa Pożyczkowo-oszczędnościowego, obecnie „Bank powszechny”, dom ludowy wraz z remizą straży pożarnej, oraz dom, w którym mieści się szkoła zawodowa żeńska i ochronka. W tym domu w roku 1863 urządzony był szpital dla rannych w bitwie pod Rybnicą powstańców.

Osada liczy około 400 domów, a mieszkańców około 6000, w tem 75% Żydów.

Ludność katolicka, przeważnie niezamożni, drobni rolnicy, trudni się prócz tego murarstwem, szewstwem, bednarstwem i masarstwem, cały zaś handel z wyjątkiem jedynej Spółki rolnej, mleczarni i sklepu spożywczego, znajduje się w rękach Żydów.

Obszar miasteczka nie może być powiększony przez dołączenie przedmieść, których tu nie ma, rozrost przytem terytorjalny odbywa się naturalnym biegiem rzeczy przez stopniowe zabudowywanie i przedłużanie istniejących czterech głównych ulic, biegnących z rynku: na wschód, zachód, południe i północ.

Klimontów, położony w środkowym punkcie gęsto zaludnionego powiatu, wśród licznie naokół rozrzuconych, co parę kilometrów spotykanych wiosek, a przytem znajdujący się na skrzyżowaniu traktów: ze wschodu na zachód — Sandomierz, Klimontów, Staszów, Stobnica, Busk i z północy na południe — Ostrowiec, Opatów, Klimontów, Koprzywnica i Tarnobrzeg, oraz Klimontów—Osiek jest miasteczkiem niezwykle ruchliwym i gwarnym, szczególnie w czasie targów, odbywających się we wtorki każdego tygodnia, na które ściągają liczne rzesze nawet z dalszych okolic, w celu zbycia lub kupna inwentarzy, spieniężenia produktów rolniczych, oraz zakupu przedmiotów codziennego użytku.



Ryc. 168.

Fot. J. Wieczorek.
Most i brama wjazdowa zamku w Ossolinie.



Ryc. 169.

Fot. J. Wieczorek.
Brama wjazdowa i baszta zamku w Ossolinie.

Sam Klimontów z wyjątkiem kościołów nie przedstawia nic godnego uwagi. Ale za to bliższe i dalsze okolice Klimontowa pod względem malowniczości krajobrazów, wśród wielu innych, tak licznie na ziemiach polskich spotykanych mogą być zaliczone do najpiękniejszych.

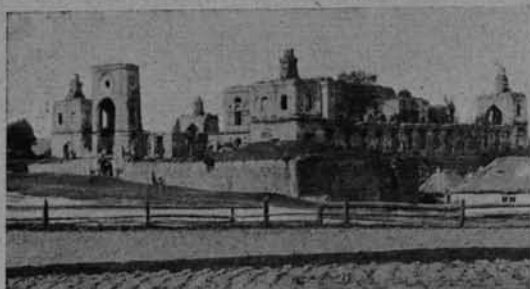
W górach Świętokrzyskich płynęła dawniej Lubrzanka ku Pokrzywiance, tworząc z nią jedną rzekę. Erozja wsteczna Czarnej Nidy koło Mąchocic przepiłowała zajęta przez żwir lodowcowy dolinę i zabrała nietylko Lubrzankę, ale także część dawnej Pokrzywianki.

Z powyższego wynika, że, nim ten zabór nastąpił, Pokrzywianka była ongiś rzeką dużą. Świadczy o tem głęboka, kilometrowej blisko szerokości dolina, stanowiąca koryto ówczesnej rzeki Pokrzywianki, która, płynąc z północo-zachodu w stronę Klimontowa, skręca tu raptownie na południe. Na tym właśnie zakręcie, na żwirowo-piaszczystym odsypisku lewego brzegu rzeki rozłożył się Klimontów.

Pokrzywianka przed wiekami dzieliła się pod Klimontowem prawdopodobnie na dwie odnogi, z których jedna płynęła dalej poza Klimontów na wschód, czego dowodem jest biegnąca w tym kierunku dolina między wyniosłościami Pęchowa, Zielonki, oraz naniesione koło wsi Byszów i Byszówka piaski—a druga na południe. Ta ostatnia pogłębiła się prędzej, niż pierwsza. Wody, płynące na wschód, napotkały w niższych warstwach gleby w dzisiejszej miejscowości „Tęczopol” i innych (są tu obecnie cegielnie), przeszkodę w gruncie twardym, łupkowo-iłowym, utrudniającym pogłębianie, wskutek czego, jak również wskutek zapewne stopniowego zabierania Lubrzanki przez Czarną Nidę i zmniejszania się wód w Pokrzywiance, płynąć długo nie mogły, a rzeka przybrała dzisiejszy kierunek południowy, żłobiąc głębokie koryto w podatnym gruncie lössowym.

Ściany powyższej doliny, dawnego koryta rzeki Pokrzywianki, przeważnie kilkadziesiąt metrów wysokie, mniej lub więcej strone, poprzerywane tu i owdzie działaniem małych strumyków, lub wodami z opadów atmosferycznych, poprzecznymi dolinami i jarami o ścianach niekiedy pionowych, tworzą płaskowzgórza, góry i pagórki, różnej wielkości i formy, porośłe lasem, krzewami, lub tylko trawą. Wskutek tego i bliższe miejscowości całej doliny, ciągnącej się z poza Iwanisk przez Klimontów do ujścia Pokrzywianki, poza miasteczkiem Koprzywnicą do Wisły, przedstawiają nieprzerwane pasmo malowniczych widoków. Niema tu jednostajności, krajobraz ciągle zmienia się, ukazując wciąż inny, a od poprzedniego stokroć piękniejszy, widok.

Już dojeżdżając do Klimontowa szosą Opatowską, kiedy miniemy wieś Pęchów,



Ryc. 170.

Krzyżtopór. Strona północno-wschodnia.

Fot. A. Jaworski.



Ryc. 171.

Krzyżtopór. Strona południowo-zachodnia.

Fot. J. Wieczorek.

a od krzyża, wznoszącego się na wzgórzu, prawie tuż nad miasteczkiem, zboczymy kilkadziesiąt kroków na lewo do miejsca, na którym stał dworski wiatrak, spalony w czasie wielkiej wojny przez Austriaków, ujrzymy cudną panoramę: na wschodzie majaczą w oddali prastare mury Sandomierza, na południe — jak oko sięgnie — malownicza dolina rzeki Pokrzywianki, na zachodzie zaś wznoszące się amfiteatralnie wyniosłości, a wśród nich najwyżej w okolicy położone miejscowości: Witowice, Konary i Szczeglice.

Z samego miasteczka, a przedewszystkiem z zachodniej strony gmachu poklasztornego, od kościoła parafjalnego, oraz z domu Banku Powszechnego i z balkonu domu Szkoły zawodowej, zachwyty budzą piękne widoki Górek, Witowic, Konar i Szczeglic, samo zaś miasteczko z dominującymi na jego tle kościołami przedstawia się najwspanialej z balkonu pałacowego w Górkach i z tarasu przed pałacem.

Do najpiękniejszych zakątków należą miejscowości, położone w pobliżu miasteczka, jako to: Obłójce v. Błójce, Wistki i Zagaje. Piękne są również, położone cokolwiek dalej: Zielonka i Podlipie, a z dalszych: Ossolin z ruinami zamku Jerzego Ossolińskiego, Konary ze szczątkami murów zamku, cała dolina do Ułanowic, oraz do Olbierzowic, gdzie wznosi się piękny kościół parafjalny, zbudowany według planu inżyniera-architekta Stefana Szyllera w roku 1910 i gdzie na cmentarzu spoczywają zwłoki 52 powstańców, poległych w bitwie pod Jurkowicami w dniu 21 października 1863 r.; dalej znów miejscowości: Nawodzice, Żyzno, Rybnica — pamiętna bitwa w roku 1863, a wreszcie Ujazd, z dobrze zachowanymi ruinami słynnego zamku Krzysztofa Ossolińskiego „Krzyżtopór”, dziś jeszcze swym ogromem podziw budzącego.

Do miejscowości pięknych, a dalej położonych, zaliczyć należy znajdujący się nie daleko szosy Sandomierz—Opatów folwark Międzygórz z ruinami zamku.

Można stąd niewielkim kosztem, zwykłą nawet furmanką, dotrzeć i na „Łysicę”, a po zwiedzeniu kościoła Świętokrzyskiego tegoż dnia powrócić.

Wszystkie powyższe miejscowości, położone w pobliżu miasteczka, lub w odległości 3—6 kilometrów, są w czasie letnich miesięcy ulubionymi terenami wycieczkowiczów.

O jarze pod Konarami, na drodze z Klimontowa do Ujazdu, wspomina Aleksander Janowski w swych tak bardzo zajmujących „Wycieczkach po Kraju”. Ale są tu jary o wiele głębsze, dłuższe i piękniejsze, ciągnące się od folwarku Żyznowa do Nawodzie, miejscowości odległych od Klimontowa o 4 kilometry w kierunku południowym.

Do Żyznowa prowadzą dwie drogi: jedna przez most na Pokrzywiance, obok „Zagaja”, skręcająca od krzyża przydrożnego na lewo do folwarku Julianów, a stąd przez wyniosłe płaskowzgórze, z którego roztacza się malowniczy widok na rozległą okolicę — do położonego najwyżej Żyznowa. Na tej drodze, zasłoniętej od wschodu piękną, zalesioną wyniosłością na podłożu łupkowym znajduje się miniaturowy wodospad, który



Ryc. 172. Portret Jerzego Ossolińskiego
w kościele parafialnym w Klimontowie.

tworzy niewielki strumyczek i z tego powodu, tylko w czasie tajania śniegów na wiosnę lub podczas ulewnych deszczów przedstawia piękny widok.

Druga droga prowadzi z Klimontowa ulicą Osiecką przez rzekę do Szymanowic Dolnych i Nawodzie, a stąd na prawo do Żyznowa. I ta droga, biegnąca dawnym korytem Pokrzywianki, o wyniosłych brzegach, od wschodu zalesionych na podłożu ilowym i kamienistym, a od zachodu poprzecinanych wymytemi w gruncie lössowym wąwozami o ścianach stromych, przedstawia widok niezwykły.

Droga od Nawodzie do Żyznowa na całej około 3 kilometrów długości, prowadzi wciąż pod górę. Pierwszy jar pod nazwą Trzcianka zaczyna się mniej więcej od połowy powyższej drogi. Drugi jar Zbrza zaczyna się od folwarku Żyznów, a trzeci zwany Lipie, bierze początek między Żyznowem i Julianowem. Wszystkie trzy zalesione jary, na których dnie sączą się niewielkie strumyczki,

ciągną się, pogłębiając stopniowo na wschód. Pod wsią Nawodzie strumyki się łączą, tworząc jeden większy strumień, który płynie na dnie jednego, wielkiego tu już jaru, przechodzącego w szeroką dolinę, zasłoniętą od północy dużą, kilkudziesięciu metrową wyniosłością o ścianach niekiedy pionowych. Od strony południowej na tejże wyniosłości znajduje się folwark Nawodzie, wieś zaś tej nazwy rozłożyła się w dolinie między powyższymi wyniosłościami, jak również dalej w kierunku na wschód na dawnym korycie Pokrzywianki i poza rzeką.

Powyższe jary i dolinę wsi Nawodzie wyłobiły wody w gruncie lössowym, a w części piaszkowym, obecna zaś wyżyna folwarczna ostała się, zawdzięczając łupkowemu podłożu, widocznemu od strony północnej folwarku.

W stronie południowej od Żyznowa ku Rybnicy, Dziękom, Wiązownicy, aż do Osieka nad Wisłą, wśród prześlicznych wyniosłości ciągną się w kierunku z zachodu na wschód doliny głębokie i wielkie jary.

Miejscowe tereny przedstawiają wielką różnorodność i różnaitość kierunków formacji geologicznych. Pokłady łupku, żwiru, ilu, kamieni, piasku i lössu, niekiedy zaledwie kilkudziesięciometrowej szerokości, rozmieszczone są obok siebie równolegle, a te znów prostopadle do innych, dużych pokładów ilu, łupku i kamieni. Są i pokłady gipsu.

We wsi Borek i Pęslawice, na polach przydrożnych, widniały do niedawna, naniezione przez lodowce, dużych rozmiarów głazy granitowe rozmaitej barwy, które użyte zostały do obłożenia cokołu przy budowie kościoła w Olbierzowicach.

Na górze Żyznowskiej, prócz gruboziarnistego szarawego piaszkowca, są pokłady kamienia marmurowego, z którego, jak również z kamieniołomów, położonych cokolwiek dalej na zachód między Żyznowem a wsią Budy, wypalane jest znane tu z dobroci wapno „Góreckie”.

Na tejże górze znajdowano kamienie z odciskami muszki i paproci, a temu lat 50, przy dożywaniu kamieni, był znaleziony ząb mamuta i odesłany do muzeum w Warszawie.

Cała okolica, nawiedzana przez kataklizmy dziejowe, wyłoniła się ostatecznie z morza zapewne współcześnie z górami Świętokrzyskimi, temi, jak geolodzy dowodzą staruszkami na kontynencie europejskim.

Jednem słowem okolica ciekawa, a nadewszystko malownicza i piękna!

KRONIKA.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE P. T. K.

Posiedzenie Komitetu Wykonawczego Rady Głównej P. T. K. odbyło się w dniu 30 maja. Po przyjęciu protokołu ostatniego posiedzenia Komitet wysłuchał sprawozdań z ostatnich posiedzeń Komisji: a) muzealnej, b) wydawniczej, c) turystycznej. Wnioski te postanowiono przedstawić Radzie Głównej na posiedz. 18. VI. 30 r. Komitet Wykonawczy zgodził się na powołanie Komisji Organizacyjnej, któraby stale czuwała nad sprawnością działania: a) biura, b) administracji wydawnictw, zbiorów i t. d., c) gospodarki finansowej oraz, d) wnikała w potrzeby i działalność Okręgów i Oddziałów P. T. K.

Komitet Wykonawczy zaakceptował treść odezw w sprawie „Słownika Geograficznego Ziem Polskich”, przedstawioną przez d-ra Stanisława Arnolda. Ustalił dzień 11 września jako termin odpowiedzi na ankietę w sprawie „zasad opracowania Słownika”.

Odezwa powyższa zostanie rozesłana w ciągu czerwca do wszystkich Uniwersytetów, Towarzystw Naukowych i uczonych polskich.

Przygotowany również został porządek obrad na posiedzenie Rady Głównej w dn. 18. VI. 30 r.

Zebrań wstępne Komisji Organizacyjnej odbyło się w dniu 26 maja. Na zebraniu tem omówiono zakres prac rozszerzonej Komisji Oddziałów Rady Głównej P. T. K. i w związku z tem przyjęto wytyczne dla regulaminu przemianowanej Komisji Oddziałów na Komisję Organizacyjną Rady Głównej P. T. K.

Komisja omówiła bliżej kwestję usprawnienia działalności biura Towarzystwa, odkładając przygotowanie w tej sprawie wniosków na posiedzenie najbliższe Komisji.

Rada Główna P. T. K. ogłosiła i rozsyła następującą odezwę: Na pierwszym Ogólnopolskim Kongresie Krajoznawczym, odbytym w Poznaniu w dn. 12 — 13 lipca 1929 r., powzięto jako pierwszy punkt uchwał, następującą rezolucję:

„Pierwszy Ogólnopolski Kongres Krajoznawczy... uznaje za wybitnie dojrzałą i aktualną sprawę podjęcia nowego wydania *Słownika Geograficznego Ziem Polskich*. Praca nad

nowem wydaniem *Słownika Geograficznego* skupić się winna w Polskim Towarzystwie Krajoznawczem”.

Nie trzeba bliżej uzasadniać, że potrzeba nowego „*Słownika Geograficznego Ziem Polskich*” jest istotnie zagadnieniem aktualnem. Dawny „*Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego*”, wydany w latach 1880 — 1904 przez B. Chlebowskiego, F. Sulimierskiego i in., ani pod względem naukowym, ani też praktycznym nie może odpowiadać dzisiejszym wymaganiom. Oparty na przestarzałych i w dużej części błędnych danych statystycznych, nie uwzględniający opracowań z całego niemal ostatniego półstulecia, przygotowywany w nader trudnych warunkach pracy — nie może być dzisiaj uważany za dzieło, na którem możnaby się było bezpiecznie oprzeć. A jest to tem ważniejsze, że „*Słownik Geograficzny*” tego typu jest niezbędny dla każdego, kto chce poznać Polskę i najdrobniejsze komórki jej życia, jest potrzebny w każdym dziale pracy politycznej, kulturalnej, gospodarczej. Muszą z niego korzystać władze polityczne, administracyjne i samorządowe, szkoły wszelkich typów, nauka, prasa, organizacje gospodarcze i społeczne, instytucje kulturalno-oświatowe, wreszcie — organizacje turystyczno-sportowe. Z tego też powodu musi on zawierać informacje ścisłe, dokładne, wyczerpujące, musi dać odpowiedź na możliwie największą ilość kwestyj, dotyczących Polski i życia na jej ziemiach.

Te właśnie względy skłoniły I Ogólnopolski Kongres Krajoznawczy do uchwalenia zacytowanej wyżej rezolucji. Wykonując tę uchwałę, Rada Główna Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego postanowiła przystąpić niezwłocznie do jej realizowania.

W tym celu przygotowano „Zasady opracowania *Słownika Geograficznego Ziem Polskich*”, które podajemy niżej. „Zasady” te wychodzą z założenia, że nowe wydanie „*Słownika*” nie może być tylko przedrukiem (z ewentualnymi poprawkami) dawnego „*Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego*”, ale że musi to być zupełnie nowe opracowanie, które będzie mogło być wykonane w ciągu dłuższego okresu czasu. Według projektu, jaki został przyjęty przez Radę Główną P. T. K., wydawnictwo byłoby rozłożone na 18 lat, z tego 3 lata

274

12. Przy wszystkich miastach (dzisiejszych lub dawnych) będą podane (w tekście lub załącznikach) ich plany dzisiejsze, oraz w miarę możliwości, najdawniejsze (ewentualnie, dla większych miast — kilka planów), W razie braku dawniejszych planów może być podana ich rekonstrukcja. Plany takie mogą też być załączane przy ważniejszych wsiach lub ciekawszych ich kształtach.

13. Układ S. G. będzie alfabetyczny. Wychodzić będzie zeszytami periodycznie. Wydawanie S. G. rozpocznie się z chwilą, gdy zostanie zgóry przygotowany materiał, który wystarczy przynajmniej na 1 rok publikowania.

14. Objętość S. G. będzie odpowiadała w przybliżeniu pierwszemu wydaniu (ok. 15 tomów po 48 — 50 ark. każdy). Format rodzaj druku będzie ustalony przez Komitet Redakcyjny.

15. Organizacja pracy będzie miała charakter regionalny w zbieraniu materiałów, centralistyczny w opracowaniu i redagowaniu. Podstawą organizacji regionalnej będą ośrodki uniwersyteckie lub te, które posiadają odpowiednie warsztaty naukowe (np. Tow. Naukowe). W ośrodkach tych będą zbierane materiały według ustalonego kwestionariusza (p. § 8). Sposoby utworzenia Komitetów lokalnych w poszczególnych ośrodkach określi Rada Główna P. T. K.

16. Praca redakcyjna będzie skoncentrowana w rękach Komitetu Redakcyjnego przy P. T. K. w Warszawie. W skład Komitetu wejdzie Redaktor Naczelny, powołany przez Radę Główną P. T. K., jako przewodniczący i Komitet, złożony z 8 — 10 członków, powołanych przez Radę Główną P. T. K. (ewentualnie w porozumieniu z instytucjami naukowymi, które zgłoszą akces do współpracy). Komitet wybierze z pośród siebie 2 zastępców Redaktora Naczelnego i 2 sekretarzy.

17. Komitet Redakcyjny zajmie się opracowaniem strony metodycznej i technicznej wydawnictwa i będzie śledził wypełnienie jej w praktyce.

18. Redaktor Naczelny będzie kierował całym wydawnictwem, zarówno w zakresie zbierania materiałów w poszczególnych ośrodkach, jak i ich ostatecznego uporządkowania i opracowania. Będzie należała do niego kontrola nazw (hasel), sprawdzanie danych, ewentualnie ich poprawienie i uzupełnianie. W działalności swej będzie się opierał na pomocy kilku stałych współpracowników płatnych.

19. Stroną finansową wydawnictwa będzie się zajmowała Rada Główna P. T. K., której Komitet Redakcyjny będzie przedstawiał preliminarze budżetu na każdy rok.

Bydgoski Oddział P. T. K. organizuje w czasie od 8-mego czerwca do 5-go lipca wystawę fotografii w salach Bydgoskiego Muzeum Miejskiego. Wystawa będzie miała specjalny dział fotografii ściśle krajoznawczych, obejmujących około 100 eksponatów ze zbiorów P. T. K. w Warszawie. Poza tym udział w niej biorą wybitni fotogra-

fowie amatorzy i zawodowcy, miejscowi i zamiejscowi. Wśród tych, którzy nadesłali już eksponaty na wystawę z poza Bydgoszczy, znajdujemy nazwiska Bułhaka i Kruszyńskiego z Wilna, Cyprjana i Marcinkowskiego z Poznania, Poddebskiego z Warszawy i t. d. Spodziewane są również cenne prace Zyberk-Platera.

Sezon wycieczkowy Bydgoskiego Oddziału P. T. K. rozpoczęła wycieczka, poświęcona zwiedzeniu nowowypbudowanej elektrowni bydgoskiej. Udział w wycieczce wzięło 82 osoby. Dnia 25 maja urządził oddział wycieczkę autobusową na jeziora Byszewskie i do Korońowa; pierwszego czerwca do Torunia. 28, 29 i 30 czerwca odbędzie się wycieczka do Gdańska, Helu, Pucka, Jastrzębiej Góry, Karwi, Żarnowca, Gdyni i Orłowa. 12, 13, 14, lipca do Szwajcarii Kaszubskiej. 20 lipca parostatkami do Chelma. 27 lipca, specjalnie dla organizowanego w Bydgoszczy kursu nauczycielskiego, do Torunia. 15, 16 i 17 sierpnia z okazji 10-cio lecia istnienia Oddziału projektowany jest zjazd krajoznawców z całej Polski, urozmaicony wycieczkami w okolicę Bydgoszczy. 24 sierpnia autobusowa wycieczka do Inowrocławia. Mogilna, Strzelna i Kruszwica. Plan wycieczek jeśnionych opracowany będzie w sierpniu.

Komisja Turystyczna przy Radzie Głównej P. T. K. Komisja Turystyczna Rady Głównej ukonstytuowała się w sposób następujący:

Stanisław Osiecki, przewodniczący.

Dr. Regina Danysz-Fleszarowa, zastępca przewodniczącego.

Stanisław Lenartowicz, sekretarz Komisji.

Piotr Szymański, zastępca sekretarza i referent do spraw znakowania szlaków turystycznych.

Józef Kołodziejczyk, referent do spraw schronisk.

Aleksander Patkowski.

Władysław Gruszczyński.

Jadwiga Bobińska.

Aleksander Szyndler.

Komisja ma za zadanie załatwianie wszelkich spraw, związanych z podniesieniem i ułatwieniem turystyki w Polsce, oraz dla spraw propagandy turystycznej zagranicą w drodze inicjowania i nawiązywania stosunków z organizacjami i związkami organizacji turystycznych zagranicą. Zadaniem Komisji będzie również opieka i nadzór nad istniejącymi schroniskami, oraz zakładanie i budowa nowych; rozwieszanie tablic orientacyjnych; wydawanie przewodników turystycznych po Polsce w językach polskim i obcych; organizowanie wycieczek z zagranicy do Polski; wydawanie ulotek propagandowych turystycznych dla zagranicy; organizowanie w porozumieniu ze Związkiem Polskich Towarzystw Turystycznych udogodnień i ułatwień dla turystów zwłaszcza w dziedzinie komunikacyjnej; nadzór nad wyznaczeniem przez poszczególne Oddziały ścieżek turystycznych i opatrywanie ich tablicami i drogowskazami.

Jednym z najbliższych zadań Komisji ma być zorganizowanie w Warszawie Kursu dla przewodników po kraju z udziałem delegatów z Oddziałów P. T. K. na prowincji.

Z PIŚMIENNICTWA.

Leon Władysław Biegeleisen. *Polityka Gospodarcza Włoch*. (Rolnictwo, aprowizacja, obrót wewnętrzny, polityka cen). Wydane z zasilku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Warszawa. Wydawnictwo Polityki i Administracji Gospodarczej. Str. XV+452. Cena zł. 14.—

Polityka Gospodarcza Włoch nie przestaje, pomimo 8-go roku ery faszystowskiej, jak najżywiej interesować opinii naukowej i politycznej. Mamy tu do czynienia z eksperymentem tem ciekawszym, że rezultaty włoskiej polityki ekonomicznej są w odróżnieniu od innych państw o rozbudowanym systemie interwencjonizmu gospodarczego raczej pomyslnie.

Prof. Biegeleisen ogranicza się w ostatniej swej pracy do jednego odcinka włoskiej polityki ekonomicznej: produkcji i obrotu spożywczego, ze szczególnem uwzględnieniem polityki zbożowej i polityki cen artykułów pierwszej potrzeby, odcinek ten jednak jest szczególnie instrukcyjny, gdy chodzi o ocenę tak kapitalnego zagadnienia, jak „battaglia economica”, mająca na celu obniżenie kosztów produkcji i utrzymania, w interesie samowystarczalności gospodarczej kraju i ekspansji wywozowej.

Praca D-ra Biegeleisena ma, poza teoretyczną stroną zagadnienia interwencjonizmu gospodarczego, wysoką aktualność zwłaszcza w obecnej chwili. Nie tylko kraj nasz, lecz cały szereg państw europejskich przeżywa dotkliwie skutki polityki gospodarczej, niedoceniającej znaczenia produkcji rolniczej zarówno dla zaopatrzenia kraju i ludności, jak i rodzimej wytwórczości, zależnej w całej pełni od siły nabywczej ludności rolniczej, jako masowego odbiorcy krajowych towarów przemysłowych.

Polityka aprowizacyjna, zwrócona jednostronnie ku obniżeniu cen artykułów rolniczych, a zwłaszcza roślin zbożowych, bez równoczesnego obniżenia cen przerobów i towarów przemysłowych, jest równie błędną, jak zawodną, mijając się zresztą z założeniami celami. Stosunki włoskie przez prof. Biegeleisena szczegółowo opracowane są szczególnie w tej mierze pouczające. „Bataglia del grano”, idąca

konsekwentnie w kierunku podniesienia wydajności rolnej, jest niewzruszoną podstawą włoskiej polityki ekonomicznej.

Punkt ciężkości włoskiej polityki aprowizacyjnej leży więc nie w sztucznym obniżaniu cen rolniczych, lecz w usunięciu wahań i rozpiętości cen między produkcją a spożyciem, surowcem a przerobem, obrotem hurtowym a detalicznym, tu bowiem w prymitywizmie obrotu a przerobu spożywczego, pozbawionego nowoczesnych urządzeń technicznych i handlowych, leżą podobnie, jak i u nas przyczyny niskich cen dla producenta przy równocześnie wysokich cenach dla konsumenta.

W poszczególnych częściach omawia prof. Biegeleisen na podstawie bogatych materiałów źródłowych i własnych obserwacji politykę rolną a samowystarczalność zbożową Włoch, włoską politykę aprowizacyjną (obróć mąką, chlebem, mięsem), politykę cen, oraz rolę samorządu terytorjalnego i gospodarczego, oraz spółdzielczości w polityce cen. Kończy pracę ogólnie omówienie polityki gospodarczej Włoch w świetle posunięć interwencyjnych i spółdziałania z inicjatywą społeczną i prywatną. St. Chmielnicki: *Wies i parafia Olbierzowice*. 1929. Nakładem autora. Odbito w drukarni nowoczesnej w Sandomierzu 8^o. Str. 14.

Dzisiejszym prądom regionalizmu mamy niewątpliwie do zawdzięczenia większe zainteresowanie się ogółu swoim otoczeniem, w rezultacie czego niekiedy nawet zapadłe miasteczka i wioski zyskują monograficzne opracowania. W omawianej broszurce przedstawia nam autor, kierownik szkoły powszechnej w Olbierzowicach, krótką historję i stan obecny starodawniej parafji olbierzowickiej w powiecie sandomierskim, na której obszarze rozegrały się krwawe walki w roku 1863 i gdzie również walczyli Legjoniści w roku 1915, w sławnej bitwie pod Konarami.

Dochód ze sprzedaży broszurki przeznaczył autor na fundusz budowy pomnika na mogile powstańców z roku 1863—jaka znajduje się na cmentarzu olbierzowickim. W. F.

TREŚĆ: Adam Uziembłto: Gdynia-Miasto.—Wacław Borowy: Kochanowski jako marinista.—Tadeusz Cieślowski (syn): Morze i paleta polska.—Adam Uziembłto „Powrót z dezercji”.—Jan Sobczak: Nazwy określające czas u Słowian.—Zygmunt Kaczorowski: Katechizm samotnego turysty.—Adam Bartkowski: Klimontów Sandomierski i jego okolice.—Kronika: Życie organizacyjne P. T. K.—Z piśmiennictwa.

Cena niniejszego zeszytu zł. 2.50

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Redaktor: Dr. Konrad Górski.

Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Redaktor przyjmuje: w Redakcji w środy i piątki od godz. 5-ej do 6-ej po południu; u siebie w domu (Al. 3 Maja 18 m. 24, tel. 129-22) codziennie od 3-ej do 5-ej.

Druk. Jan Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34, Tel. 407-50.